Rok XI. Nr. 2.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwiecień.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1905.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1905 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.



Siostra KAROLINA JUHEL

Wizytatorka Sióstr Miłosierdzia Prowincyi Polskiej.

(1878—1905).

Matka Karolina Juhel urodziła się 21 kwietnia 1826 r. w Paryżu z rodziców zacnych i pobożnych. Starsza jej siostra uprzedziła ją, wstępując do Zgromadzenia S. S. Miłosierdzia, gdzie, jak wiemy, została wybraną w roku 1878, 10 czerwca Matką Generalną całego Zgromadzenia.

S. Karolina wstąpiła do Zgromadzenia 14 lipca 1845 r. Niestety, nie znamy bliżej całej jej działalności w ojczystym jej kraju, lecz że musiała być czynną, pełną ducha Bożego, świadczy np. to, że w r. 1873 wybraną została Ekonomką Zgromadzenia i po skończonem swem trzechletniem urzędowaniu zostawiła po sobie najmilsze u wszystkich wspomnienie.

Dnia 13 sierpnia 1881 r. przybyła z rozkazu przełożonych do Krakowa, mianowana po M. Talbot wizytatorką prowincyi krakowskiej.

Położenie jej nie było godne zazdrości.

Przybywała z Francyi, nie znając ani języka, ani zwyczajów polskich i w wieku, który już nie nadaje się łatwo do nabrania znajomości obcej mowy.

Ś. p. M. Karolina Juhel należała jednak do tych niewiast ewangelicznych, mężnych, niezrażających się trudnościami. Wierząc w swe posłannictwo, gdyż z rozkazu przełożonych urząd tak trudny obejmowała, umiała i drugich natchnąć duchem wiary a dobrocią prawdziwie macierzyńską w krótkim czasie pozyskać sobie serca Sióstr sobie podwładnych.

Oprócz tych przymiotów dziwna roztropność w postępowaniu, w doborze przełożonych itp., cechowała ją zawsze. Roztropność była u niej solą mądrości, która kierowała jej czynnościami.

Czy to w postępowaniu z władzami, czy w stosunku do Zgromadzenia X. X. Misyonarzy, kierowników duchownych jej Córek, zawsze umiała z umiarkowaniem przeprowadzić swe zamiary, jednając sobie szacunek osób, które do niej się zbliżały.

Zdawało się, że obrała sobie za dewizę słowa: *fortiter*

in re, suaviter in modo, „mężnie w czynie, łagodnie w sposobie“.

Taką była śp. M. K. Juhel od początku swego urzędowania aż do ostatniej chwili życia. Gdy jeszcze dodamy prawdziwą jej pobożność, to już dziwić się nie będziemy, że Bóg tak dziwnie błogosławił rządom tej duszy szczerej prostotą, miłością, pokorą.

Wszyscy się budowali, jak mimo, że do końca życia obcy jej był język polski, pierwszą była na ćwiczeniach wspólnych, jak nigdy nie opuszczała konferencyj i podobnych praktyk.

A cóż powiemy o najważniejszej cnocie dobrej Siostry Miłosierdzia tj. o współczuciu dla cierpiących i potrzebujących. Kochała szczerze ubogich i gotowa była dla nich robić największe ustępstwa. Przy jubileuszu 50-letnim powołania, który przed dziesięciu laty obchodziła, jedną z największych przyjemności jej było, urządzić małą ucztę dla biednych. Kochała chorych i szpitale bardzo jej na sercu leżały i Siostry swe umiała szczerze natchnąć tą swą względem nich troską.

Dalej szkoły, ochronki a przedewszystkiem Zakłady sierót, to można powiedzieć, była słaba strona jej macierzyńskiego serca. Tu gotowa była w poświęceniu zajść do możliwie najdalszych granic.

I tak, gdy przybyła do Krakowa, zastała w Zakładzie sierót przy Domu Centralnym ustaloną liczbę 50 ubogich dziewczynek.

M. Juhel nie była w stanie odmówić żadnej prośbie, stąd liczba sierót zaczęła się wciąż pomnażać, aż doszła obecnie do 130.

Środki jednak materyalne nie zwrastały; społeczeństwo czy instytucye nigdy nie zasilały budżetu Zakładu. Wszystko to było na głowie M. Juhel.

Powiększenie Zakładu wymagało usunięcia dawnej ochronki i szkoły i przeniesienia ich do zupełnie nowego gmachu, który stanął pod nazwą: Domu Św. Stanisława.

Wszystko to stanęło kosztem Domu Centralnego.

A i tak Zakład sierót pomieścić się nie dał i trzeba było dobudować jeszcze jedno piętro.

Widzimy, jak przed żadną ofiarą nie cofa się M. Juhel. Również kosztem Domu Centralnego stanął dwupiętrowy okazały budynek w Łobzowie, aby Siostry mogły rozpocząć wszelkie rodzaje pracy nad umoralnieniem tej tak zaniedbanej części przedmieścia. Powstała więc tam zaraz ochronka, Stowarzyszenie Dzieci Maryi, Katechizacye i t. p., które do niepoznania razem z pracą wydatną naszych konfratrów zmieniły usposobienie okolicy.

A dom na Kazimierzu, dziś takich rozmiarów, dom miłosierdzia dla przeróżnych rodzajów cierpień fizycznych, moralnych, dom pracy, wszystkiego tego motorem cichym a wytrwałym była ś. p. M. Juhel, czy to radą, czy środkami materyalnymi, które znowu nawet z pewnym uszczerbkiem dla Domu Centralnego poświęcała, bo tu chodziło znowu o cierpiących, o sieroty.

Prawdziwa córka Św. Wincentego! Znalazła też w śp. S. Ryszewskiej godną wykonawczynię zasad Świętego naszego Ojca i Matki Le Gras.

Matka Juhel, gdyż tak powszechnie ją wszyscy nazywali, dając niejako wyraz, że oceniają jej dobroć macierzyńską, Matka Juhel pragnęła, aby przy każdym Domu Sióstr mogła być ochronka, lub Zakład sierót. Nawet po wyjściu z Zakładów wiedziały one, że w każdej potrzebie do niej zwrócić się mogą i często też z tego korzystały. Była jakby niezdolną do odmówienia jakiej prośbie.

Na każdem zresztą polu znać było działalność M. Juhel. Ona to przyczyniała się do rozszerzenia Stowarzyszenia „Pań Miłosierdzia“; ona też zachęcała swe Siostry do zakładania wszędzie Stowarzyszenia „Dzieci Maryi“; ona to np. przyczyniła się do wydania „Nabożeństwa kościelnego“ na wzór *paroissien romain*, aby przyzwyczaić swych i obcych do większego uczestnictwa w nabożeństwach liturgicznych Kościoła.

Ofiarność jej dla chwały Domu Bożego równie była wielka.

Któż nie pamięta pięknych aparatów przez nią złożonych w dniu jubileuszu śp. X. Soubielle i przy innych okazyach!

Dla kapłanów z czcią zawsze największą; dla swych Sióstr z miłością i poświęceniem bez granic, gdzie każdy rozkaz, zwłaszcza trudniejszy, tak był osłodzony dziwną jej pokorą; dla obcych a zwłaszcza cierpiących, widzieliśmy jakie jej było współczucie, wszystko to składało się, że Matka Juhel czcią też i miłością wszystkich była otoczoną.

Składały się jeszcze na to jej charakter szczery i prosty i ufność, jaką można było mieć do niej, dziwnie bowiem nad wyraz umiała zachować sekret tego, co przez jej urząd przechodziło.

Zachowała zawsze wielkie przywiązanie do kraju rodzinnego i do jego tradycyi, jakoteż głębokie uczucie przywiązania do swych Przełożonych; przedziwnie jednak roztropnie umiała nie drażnić uczuć narodowych polskich. Nie znając języka, nie wysuwała się też nigdzie zbytecznie, zadawalniając się cichem kierownictwem i pozostawiając drugim reprezentacyę Zgromadzenia.

Była niejako tem ciepłem, które niewidome, a ożywia wszelkie ciało i utrzymuje jego życie; tak ona była niejako przytomna przy wszystkich swych Córkach, we wszystkich swych Domach, przy wszystkich Dziełach.

Zgromadzenie też Sióstr za jej rządów stanęło na pierwszem miejscu w rzędzie Zgromadzeń żeńskich, czy to ilością powołań, czy jakością dzieł, czy siłą moralną, jaką mu daje zamiłowanie Reguł i duch Św. Wincentego. Jest to dziś hufiec gotowy do boju i do wszelkiego rodzaju poświęceń dla Kościoła i Ojczyzny. Słusznie mówił śp. X. Soubielle, że połowa mieszkańców Galicyi przechodzi przez ręce Rodzin Św. Wincentego, że więc obowiązki nasze są nader ważne i odpowiedzialność za to, czy spełniamy dobrze dzieło Boże, dzieło zbawienia dusz!

Gdy M. Juhel obejmowała ster prowincyi, zastała Do-

mów 20 a dziś liczy ich 55! Tak Bóg błogosławił rządom tej duszy świątobliwej.

M. Juhel od czasu do czasu zapadała na zdrowiu, bo i klimat nowy i wiek późny o niejedną niemoc ją przyprawiał.

Znosiła jednak zawsze mężnie swe cierpienia i energią je zwyciężała.

Najtrudniej było ją namówić do troski o siebie, o swe zdrowie.

Namawiana, aby się więcej pielęgnowała, bo nigdy nie spoczywała i żadnych lekarstw brać nie chciała, odpowiadała zwykle: to grzech zajmować się sobą i przysłuchiwać się co dziś boli a co jutro boleć będzie. To dobre dla pań, nie dla Siostry Miłosierdzia. Trzeba pracować, pokutować. To były jej zwykłe odpowiedzi. A gdy już w ostatniej chorobie musiała się położyć, to przybywającym osobom mówiła: leniwa jestem, leżę.

Zdrowie jej wyczerpywało się nieznacznie, aż w grudniu z. r. dosyć nagle zasłabła a wkrótce lekarze orzekli, że nadziei wyzdrowienia niema żadnej.

Astma, choroba sercowa i nerek, wszystkie niemoce zjawiły się, aby być dla śp. M. Juhel ogniem czyścowym i dokonać dzieła uświęcenia jej pięknej duszy.

Oto jak opisuje te ostatnie chwile list okólny, jaki rozesłano prowincyi:

„Wszystkie Drogie Siostry musiały zauważyć, że od niejakiego czasu zdrowie naszej ukochanej Matki Wizytatorki dużo się pogorszyło. Podczas ostatniej Jej podróży na prowincyę widziałyśmy, jak była zmęczoną; każdy trud, każde zmartwienie odbijały się na Jej twarzy, i jedynie niezwykła Jej energia i gorliwość o zbawienie dusz dodawały Jej odwagi. Już od początku grudnia widząc Ją słabszą, prosiłyśmy, aby nie schodziła do refektarza i na rekreacyę, i żeby Mszy św. słuchała w Infirmeryi, ale nie chciała się na to zgodzić, mówiąc, że powinna dawać dobry przykład Siostrom, nie zważać na siebie, to nic dziwnego że w Jej wieku jest się zmęczoną

i t. p. Aż wreszcie gdy przystała na to, bo już sama czuła że sił Jej brakło, było to już za późno: 18 grudnia położyła się do łóżka i już z niego nie wstała. Przywołany doktor znalazł stan Naszej Matki groźnym, zabronił wszelkiego ruchu i zajmowania się interesami, dodając, że lada chwilę możemy spodziewać się katastrofy. Oprócz Dra Surzyckiego widział jeszcze naszą Matkę Dr. Pareński i Dr. Jankowski i wszyscy orzekli że ratunku niema. Serce, wątroba, nerki, wszystko chore, a przytem chroniczna Bronchitis. Cierpienia naszej czcigodnej chorej musiały być okropne, ale Ona się nie skarżyła. Na zapytanie jednej Siostry: „czy bardzo cierpi?" odpowiedziała z uśmiechem: „Trzeba cierpieć za grzechy swe". Odwiedzające Ją osoby, mianowicie: Najprzewielebniejszy ks. biskup Nowak, Czcigodny nasz Ojciec Dyrektor, inni księża Missyonarze, Doktorowie, — byli zachwyceni Jej cierpliwością, poddaniem się woli Bożej, energią i wesołością. W pierwszym tygodniu, gdy już sama nie mogła chodzić na Mszę św. do Infirmeryi, przynoszono Jej Komunię św., 22 grudnia przyjęła ostatnie Sakramenta św. — W uroczystość Bożego Narodzenia zacny nasz ksiądz biskup Nowak pozwolił odprawiać Mszę św. w Jej pokoju. Urządzono więc ołtarz naprzeciwko łóżka naszej ukochanej chorej i odtąd codzień miała Mszę św. i św. Komunię, do których gotowała się zwykle przez noc całą, powtarzając radośnie, najczęściej po polsku: „Ach! jaki Pan Bóg dobry! Pan Jezus przyjdzie! Biskup dobry i wszyscy dobrzy!" Nie mówiła zwykle o śmierci ale o niej myślała, bo poczyniła różne rozporządzenia, rozmawiała ze spokojem i mądrością z Czcigodnym Ojcem Dyrektorem i z Siostrami urzędniczkami. W piątek 6 stycznia znowu był ksiądz biskup i odchodząc spytał naszą Matkę: czy pozwoli aby On przyszedł jutro ze Mszą św. Odpowiedziała wyrazami najżywszej radości i wdzięczności. W sobotę więc była ta Msza św., odprawiona przez Najprzew. księdza Biskupa, a chora przyjęła Komunię św. z Jego rąk. Nasza Matka była już bardzo słaba, ale jeszcze słabszą była w niedzielę 8 stycznia po nocy okropnie męczącej, podczas

której tchu Jej brakło, tak że zrywała się z przestrachem i wyciągając ręce wołała: „umieram!“ — Podczas Mszy św. była przygnębiona, lękałyśmy się czy będzie mogła przyjąć Komunię św., ale gdy jedna Siostra powiedziała: „Matko! Pan Jezus przychodzi“, zaraz otworzyła oczy i z radośnym wyrazem twarzy, złożyła ręce i otworzyła usta. Przez cały ranek cierpiała strasznie przez brak oddechu, ale widząc naszą boleść, przymuszała się do uśmiechu i mówiła coś po polsku, zapewne chcąc nas pocieszać, ale nie mogłyśmy zrozumieć. Około 11-tej zaczęło się konanie. Zapalono gromnicę, Czcigodny Ojciec Dyrektor udzielił ukochanej naszej chorej zupełnego odpustu, modlił się długo z nami, a potem modliłyśmy się same i wśród tych modlitw o wpół do pierwszej zamknęła oczy, oddech słabł coraz więcej — i wreszcie ustał... Nasza ukochana Matka Wizytatorka Juhel, poszła do Boga“...

Umarła dnia 8 stycznia 1905 r. Przez dni następne aż do pogrzebu dzień i noc modliły się przy zwłokach Siostry i dzieci.

Dnia 10 stycznia przeniesiono wieczorem zwłoki do kościoła i odprawiono nieszpory żałobne, a nazajutrz rano pogrzeb.

Po odśpiewaniu wigilij, miał mszę św. cichą Najprzew. ks. biskup suffragan Nowak, później sumę Przew. X. J. Kiedrowski, wizytator X. X. Misyonarzy i Dyrektor S. S. Miłosierdzia, a kondukt i wyprowadzenie aż na cmentarz i to wśród niepogody, odprawił również z całem poświęceniem Najprzew. ks. Biskup.

Pochowana w grobie wspólnym Sióstr Miłosierdzia, oczekuje szczęśliwego zmartwychwstania.

* * *

Najprzewielebniejszy O. Generał w liście cyrkularnym do Sióstr z dnia 14 stycznia b. r. dał wyraz żalu ze straty jaką poniosło Zgromadzenie Sióstr przez śmierć Matki Juhel i oddał cześć jej cnotom i zasługom.

W tymże samym liście zawiadomił Zgromadzenie, że mianował wizytatorką prowincyi krakowskiej:

Siostrę Jadwigę Zaleską

Oto słowa Najprzewielebniejszego O. Generała:

„Dla zapełnienia próżni, uczynionej przez śmierć czcigodnej S. Karoliny Juhel, skłoniliśmy się z Najprzewielebniejszą Matką i Jej Radą, mianować wizytatorką Siostrę Jadwigę Zaleską, przełożoną Zakładu im. Helclów w Krakowie, wiedząc, jak jest ożywiona doskonałym duchem i przywiązaną do zasad świętego Założyciela naszego. Znacie ją, najmilsze Córki, ufam więc, że potraficie ocenić zalety jakie posiada".

Cała Rodzina duchowna św. Wincentego w Polsce z radością i z wdzięcznością przyjęła ten nowy dowód względów, jakie okazuje Najprzewielebniejszy O. Generał dla Polski. Wielki rozrost prowincyi, liczne stosunki Zgromadzenia z władzami kraju, dobro duchowne Sióstr wymagało, aby wizytatorka mogła porozumiewać się językiem kraju i znać jego zwyczaje i t. p. Życzeniem więc wszystkich, dla dobra Zgromadzenia, stało się zadość powyższą nominacyą.

Ks. Jan Dihm.

EUROPA.

Włochy. — Ojciec święty, Pius X., którego dewizą jest *restaurare omnia in Christo,* zwrócił uwagę na seminarya dyecezyalne we Włoszech. Jeżeli wszędzie dekret Soboru Trydenckiego o zaprowadzenie w dyecezyach seminaryów, gdzieby, żyjąc wspólnie, wychowywali się przyszli kapłani, napotykał na trudności, to te we Włoszech stawały się większe, dla wielkiej liczby biskupstw, przeważnie bardzo małych*). Nie było więc w takich dyecezyach środków materyalnych, nie było odpowiedniej liczby kleru na prowadzenie tych instytucyi. Ojciec święty chcąc temu zaradzić powierzył kilka seminaryów konfratrom francuskim, którzy razem z konfratrami włoskimi objęli następujące seminarya: *Corretto Sannita,* we Włoszech środkowych; *Larino, Molfetta, Nardo, Lessa Aurunca* we Włoszech południowych; *Noto,* na Sycylii, *Nuoro* w Sardynii·

Przy tej sposobności wspomnimy o prowincyach włoskich. Jest ich trzy: rzymska, turyńska i neapolitańska. Pierwsza liczy Domów 13; z tych jeden w Broklynie, w Stanach Zjednoczonych.

Druga liczy Domów 14, a trzecia 13.

Zajęcia i prace naszych konfratrów są: seminarya wielkie i małe, misye, rekolekcye, konferencye dla duchownych, parafii i t. p.

Dwóch konfratrów włoskich piastuje godność biskupią.

Jeden z konfratrów stale bywa prokuratorem Zgromadzenia całego przy Stolicy Apostolskiej.

Prowincye włoskie mają również przywilej, z zagranicznych same tylko jedne, że jednym z Asystentów przy boku O. Generała jest zawsze Włoch.

---

*) Włochy liczą 47 arcybiskupstw i 206 biskupstw.

Hiszpania. — List X. Beade. Orense, lipiec 1904.

Pisałem już po krótce czem się zajmuje nasza mała rodzina tutaj.

Fundatorka, Siostra Eugenia, oddała wspaniałomyślnie na tę naszą fundacyę całe swe mienie, z tym tylko obowiązkiem, aby w pewne dni oznaczone były odprawiane Msze święte za dusze jej rodziców, Antoniego Figueras i Maryi Rodriguez.

X. Biskup dał na tę fundacyę zezwolenie w słowach: „Co nas tyczy, udzielamy kanonicznego zezwolenia na założenie Domu XX. Misyonarzy w Orense w celu spełniania przez nich prac swego powołania".

Dzieła więc nasze nie są ściśle oznaczone, stąd może kochany ksiądz sądzi, żeśmy tu anachoretami, że nic nie robimy? Przeciwnie. Spowiadamy dużo, mówimy kazania na mieście i po wsiach. Więzienie dalej i zakłady SS. Miłosierdzia, jak i Stowarzyszenia robotnicze dają nam dużo do czynienia. X. Biskup powierzył nam kierownictwo Zgromadzenia św. Ludwika.

X. Ryszard Beade.

Orence jest miastem w Galicyi hiszpańskiej, 410 kilometr. od Madrytu, liczy 14.000 m., jest siedzibą biskupa. Nazwa zdaje się pochodzi od Urentes *(Aquae urentes)* z powodu źródeł gorących tu się znajdujących. Okolice miasta piękne.

Dom ten należy do prowincyi madryckiej.

Hiszpania liczy obecnie urzędowo dwie prowincye: madrycką i barcelońską. Pierwsza ma domów 18, druga 5. Jednakowoż konfratrów hiszpańskich w bardzo znacznej liczbie widzimy w trzech innych prowincyach, mianowicie w Mexyku, na Filipinach i na Antylach. W ostatnim liście cyrkularnym O. Generał zaznacza właśnie tę obfitość powołań w Hiszpanii i poświęcenie jakie czynią, wysyłając swych konfratrów do innych prowincyi.

Zajęcia naszych hiszpańskich konfratrów są: prowadzenie wielkich i małych seminaryów, kollegiów, misye, rekolekcye itp.

W roku przeszłym Dom Centralny w Madrycie święcił nadzwyczajną uroczystość konsekracyi nowej, wspaniałej świątyni pod wezwaniem św. Wincentego. Jest to arcydzieło architektury. Konsekracyi dokonał J. Exs. Mgr. Rinaldini, nuncyusz apostolski w Madrycie.

X. Jan Dihm.

Misye zagraniczne Zgromadzenia XX. Misyonarzy św. Wincentego a Paulo.

Azya. — Żyjemy w czasach kolonialnej polityki państw europejskich. Cały świat stanowi już dziś ogromną kolonię Europy; następstwem takiego stanu rzeczy są też najrozmaitsze zawikłania polityczne i wojny kolonialne to jednego, to drugiego mocarstwa Europy. Interesa polityczne państw kolonialnych rozgrywają się w dalekich krajach, na kończynach Afryki i Azyi, oszczędzając Europie wojen i zamieszek.

I sprawa misyi Kościoła katolickiego, sprawa tego najważniejszego czynnika kulturalnego polityki kolonialnej wypłynęła teraz na powierzchnię walk i zabiegów dyplomatycznych. Misye katolickie nabierają dziś pierwszorzędnego znaczenia, raz ze względu na olbrzymią ilość pracowników oddających się głoszeniu wiary, a po drugie, ze względu na poświęcenie i męstwo, jakie ich ożywiają. Jeszcze nigdy tak wielki zastęp apostołów nie pracował nad nawróceniem narodów, jak w dniach dzisiejszych. Ogółem 18.000 Misyonarzy, księży i braci najrozmaitszych zakonów i zgromadzeń i 52.000 sióstr misyjnych pod kierunkiem przeszło 300 biskupów i wikaryuszów apostolskich pracuje dziś nad nawróceniem pogan i heretyków. Potężny ten zastęp pomnożył się znacznie w ostatnich latach wskutek wygnania zakonów i zgromadzeń z Francyi, które w znacznej części ustąpiły na terytorya misyjne.

I nasze maluczkie Zgromadzenie z ogólnej cyfry wynoszącej 3.263 członków, poświęca pracy misyjnej wybór swych sił w ilości 511 Misyonarzy, z czego księży jest 403, kleryków 24, a braci 84. Pole pracy naszego Zgromadzenia obejmuje Azyę i Afrykę; obok dawnych posterunków pracy misyjnej uświęconych staraniem i zabiegami św. Wincentego, a zroszo-

nych potem i krwią naszych misyonarzy, jak Algier i Madagaskar, Opatrzność Boża i Stolica Apostolska powierzyła nam cały szereg krajów misyjnych, nad którymi pracuje dziś nasze Zgromadzenie. Najbogatsze żniwo rozpościera się w Azyi, na kontynencie największym i najludniejszym, na drugiem miejscu stoi Afryka. Podział pracowników między te kraje przedstawia się w następujący sposób:

	Księży.	Kleryków.	Braci.
Chiny . . . . , ...	185	24	18
Filipiny	34	—	8
Syrya	38	—	23
Turcya (europejska i azyatycka) . .	73	—	24
Persya	19	—	—
Abisynia	6	—	3
Madagaskar	17	—	7
Egipt	7	—	1
Algier	24	—	—

Pokaźna ta liczba pracowników znika jednak wobec olbrzymiej cyfry ludności, nad której nawróceniem pracują. Zwłaszcza Chiny pochłaniają poprostu Misyonarzy, gdyż na obszarze siedmiu wikaryatów przydzielonych naszemu Zgromadzeniu, mieszka przeszło 100 milionów pogan. Jednak, żniwo to, choć mało jest na niem robotników, drogie jest sercu każdego Misyonarza, bo zbawia się tysiące dusz, a nadto kraje te dały już naszemu Zgromadzeniu licznych męczenników, którzy nie szczędząc trudów w końcu nawet krwią uświęcili pole swej pracy. To też dziś, wobec zupełnego ubezwładnienia Zgromadzenia we Francyi i sparaliżowania jego pracy, należy to pole wziąć w szczególniejszą opiekę, na którem już tyle zasług zebrali nasi konfratrzy narodowości francuskiej.

Prześladowanie religijne we Francyi i misye katolickie boleśnie dotknęło. Raz, że zachwiało nowicyatami zakonów i zgromadzeń misyjnych, a po drugie, z całem prześladowaniem zaznaczył się i upadek ofiar na cele misyjne, wobec

tego, że ofiarni francuscy katolicy muszą teraz po umniejszeniu lub odjęciu pensyi rządowych utrzymywać duchowieństwo świeckie. Tymczasem temi ofiarami stały po największej części misye zagraniczne.

I nasze Zgromadzenie utrzymuje swoje misye, dzięki zapomogom ze strony Stowarzyszeń misyjnych. Rozdział jałmużn w roku 1904 na korzyść misyj obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo przedstawia się w następujący sposób:

Stowarzyszenie Rozkrzewienia wiary, zapomóg 16 w kwocie	349.100 Fr.
Stowarzyszenie Rozkrzewienia wiary na podróże Misyonarzy, zapomóg 15 w kwocie . .	19.900 „
Dzieło Dziecięctwa Pana Jezusa, zapomóg 13 w kwocie	314.000 „
Stowarzyszenie Szkół wschodnich, zapomóg 16 w kwocie	37.317 „
Sodalicya św. Piotra Klawera, zapomoga dla Abisynii w kwocie	4.109 „
Ogółem zapomóg 61 w kwocie	724.426 Fr.

Największych ofiar w stosunku do swych dochodów udziela tak Misyonarzom jak Siostrom Miłosierdzia Dzieło Dziecięctwa P. Jezusa, a to dzięki przychylności Dyrektora Generalnego tego Stowarzyszenia Msgr. Demimuida, wielkiego znawcy dziejów i przyjaciela naszego Zgromadzenia, autora kilku żywotów naszych Błogosławionych, pomiędzy innymi i błogosławionego de Jacobis, wikaryusza apostolskiego Abisynii. W uznaniu tej ofiarności te też Stowarzyszenia poleca w okólnikach noworocznych nasz Najprzewielebniejszy Ojciec Generał, opiece obydwóch Zgromadzeń.

Dla obrony misyi zagranicznych, tudzież dla powstrzymania prześladowania, a zarazem dla okazania czego katolicyzm francuski dokonał dla sprawy misyjnej, Misyonarze różnych Zgromadzeń i Zakonów wydali pod kierunkiem Pioleta Jezuity, olbrzymie dzieło wspaniale illustrowane w sześciu to-

mach o francuskich misyach katolickich. Dzieło to, to wspaniały pomnik poświęcenia i zaparcia się duchowieństwa katolickiej Francyi, które z takim zapałem poświęca się sprawie głoszenia wiary; i dziś patrząc na ten 15.000 zastęp misyonarzy narodowości francuskiej, przypomina się człowiekowi stare hasło wojen krzyżowych: *Gesta Dei per Francos*. I nasi konfratrzy francuscy należeli do współpracowników, mianowicie: X. Coulbeaux opisał misye w Abisynii, X. Bray misye w Persyi, a X. Biskup Favier misye w Chinach. Opis Chin przez Faviera daje trafną charakterystykę kraju i jego mieszkańców, potem następuje bezstronny opis pracy misyjnej najrozmaitszych Zakonów i Zgromadzeń w potężnem cesarstwie niebieskiem. Na tem polu spotkał się jednak X. Biskup z surową krytyką OO. Jezuitów w Stimmen aus Maria-Laach. O. Huonder zarzuca mu, że spór o niektóre obrządki chińskie tolerowane przy nabożeństwie przez OO. Jezuitów a usuwane przez innych misyonarzy, jest zgoła niejasno i jednostronnie przedstawiony; nadto autor nie opiera się tu na źródłach pierwszorzędnego znaczenia, lecz czerpie ze źródeł podrzędnych z drugiej ręki pochodzących; te zarzuty podnosi także i względem innych twierdzeń. Lecz tego rodzaju krytyka też nie jest głębiej uzasadnioną. Najpierw, zbadać przebieg całego sporu rytualnego w Chinach jest do dziś dnia rzeczą bardzo trudną wobec najrozmaitszych i sprzecznych relacyi dotyczących tej sprawy, a skądinąd autor rozbierając to, byłby popadł w prawdziwy labirynt zatargów OO. Jezuitów ze wszystkimi misyonarzami w Chinach, nie wyjmując nawet i naszego Zgromadzenia, co szkodziłoby i dziełu pisanemu w ogólnym zakresie, jak szkodziło niegdyś jeszcze więcej pracy misyjnej w Chinach.

Tak się przedstawia stan naszych misyi zagranicznych. Wybitnie na tem polu pracuje zwłaszcza X. Biskup Favier, powaga na polu naukowem i najlepszy znawca Chin. Jego monografia Pekinu, stolicy niebieskiego cesarstwa, zjednała mu uznanie instytucyj naukowych, zwłaszcza Akademii francuskiej w Paryżu. Niestety siły jego, skołatane nieszczęściami



Chiny — Seminaryum XX. Misyonarzy w Kia-Shing pod Shanghajem dla kształcenia księży europejskich dla Chin.

lat ostatnich i strasznem oblężeniem Petangu, już się wyczerpują; dziś, pozbawiony ruchu i schorowany oczekuje nagrody od Boga, dla którego pracował z takiem poświęceniem*).

Chiny. — Po ostatniem prześladowaniu nastąpiła już restauracya naszych prowincyi i znowu nasi Misyonarze w świetną patrzą przyszłość. Zwłaszcza przez założenie seminaryum dla kształcenia księży europejskich w Kia-Shing, (położonem na południowy zachód na kilka godzin drogi parowcem od Shanghaju), zasilą się szeregi Misyonarzy i tak prześladowanie we Francyi nie zada tym misyom większego ciosu. Z przedsięwzięć Misyonarzy w Chinach zasługuje na uwagę projekt X. Biskupa Ferrant, Misyonarza w północnem Kiangsi. „Będąc jeszcze Misyonarzem w Ningpo (Czekiang), pisze Msgr. Ferrant, założyłem tam domy pracy i warsztaty, w których chłopcy i dziewczęta uczyli się tkactwa jedwabiu i hafciarstwa. Przedsięwzięcie udało się, i do dziś dnia pracuje w tych zakładach przeszło 100 młodzieńców i panien, pogan i chrześcijan, gdzie obok zarobku znajdują i bezpieczne miejsce, schronienie i obronę swej cnoty i moralności pod opieką Sióstr Miłosierdzia“. Otóż, tego rodzaju zakłady chce teraz X. Biskup i na nowem swem stanowisku w północnem Kiangsi zaprowadzić, i tesame pobudki skłaniają go do tego przedsięwzięcia, mianowicie zarobek a zwłaszcza oddalenie i ochrona młodych Chińczyków od zepsucia. Jak długo są dzieci w szkole, to rokują najlepsze nadzieje na przyszłość, ale gdy wnijdą w życie i w styczność z poganami to giną dla wiary i moralności chrześcijańskiej. Otóż dla zapobieżenia temu nieszczęściu, konieczne są domy pracy zwłaszcza dla dziewcząt; to bowiem oddala je od zepsucia, daje im wolność i niezależność od rodziny, gdzie pogardzane, stanowią prawdziwy przedmiot handlu i wyzysku. Zresztą i poganie przyjmowani do takich zakładów, dostają się w chrześcijań-

*) Wydanie poranne *Czasu* z dnia 5 kwietnia b. r. podaje już telegram o śmierci X. Biskupa Favier'a.

ską atmosferę i tak uczą się cenić i szanować wiarę katolicką i sami zostają w końcu chrześcijaninami. Poświęcenie Sióstr Miłosierdzia, duch ładu, miłości i spokoju panujący w takich domach pociąga wszystkich i tak usposabia wielu życzliwie dla chrześcijaństwa i jedna mu przyjaciół, skoro widzą, że obok spokoju duchowego religia katolicka popiera i przemysł i materyalny dobrobyt kraju.

Ogólnie rzecz wziąwszy przyznać trzeba, że nasi Misyonarze w Chinach pracują dziś przeważnie nad klasą rzemieślniczą i ubogą; wpływ na klasy wyższe i na dwór cesarski, o który niegdyś z taką usilnością starali się misyonarze jezuiccy, dziś już znacznie zmalał a nawet prawie ustał; wina za to spada w znacznej części na zaborczą politykę państw europejskich, zwłaszcza Niemiec i na zbyt pospieszne odwoływanie się do protektoratu niemieckiego zmarłego Biskupa Anzera. To też każde prześladowanie i każdy narodowy ruch Chiński przynosi dziś Misyonarzom ciężkie straty i materyalne i duchowe, bo przy dworze cesarskim niema już orędownictwa możnych mandarynów lub członków rodziny cesarskiej, jak tylko nieszczęśliwa i we wielu wypadkach dyskredytująca Misyonarzy, interwencya państw europejskich.

Palestyna. — Dom konfratrów z prowincyi niemieckiej w Jerozolimie.

Obok licznych zakładów i domów prowincyi francuskiej na Wschodzie, powstały i dwa inne domy, jeden prowincyi austryackiej w Konstantynopolu liczący 8 księży i 6 braci i dom prowincyi niemieckiej w Jerozolimie liczący 5 księży. Zwłaszcza ostatni posterunek w Ziemi św. zasługuje na bliższą uwagę, raz z powodu wielkiego znaczenia tego stanowiska zajętego przez naszych konfratrów, a po drugie z powodu okoliczności towarzyszących założeniu tego domu. Inicyatywa do rozbudzenia interesu dla Ziemi św. wyszła w Niemczech od stowarzyszenia zwanego: Stowarzyszeniem Ziemi świętej. Bezpośrednią przyczyną do założenia jego były: rozwielmożniony wpływ schizmy i protestantyzmu na Wschodzie i ustęp-

stwa Francyi z protektoratu nad katolickim Wschodem, poczynione na rzecz zaprzyjaźnionej Rosyi. „Synowie św. Ludwika stali się synami Woltera i niegodnymi są opieki nad Ziemią św.“, oto słowa prezesa powyższego Związku, radcy Jansena, które odtąd stały się hasłem niemieckich katolików. Związek szybko rozszerzył się po Niemczech, odwołał się nawet do cesarza a prezydentem obrał Arcybiskupa Kolońskiego. Nadzieje i zapał członków wzrosły niesłychanie, gdy cesarz Wilhelm II. w 1898 r. podarował temu Stowarzyszeniu t. zw. *dormitio Mariae*, t. j. miejsce zaśnięcia Matki Boskiej. To miejsce uświęcone tradycyą zachęciło członków do wielkiej ofiarności na cele Ziemi św.; z ofiarami rosły i plany. Równocześnie rozpoczęła się też i walka Schizmatyków, Anglikanów a zwłaszcza francuskich katolików. „To niesłychane — pisała jedna gazeta francuska — żeby w Ziemi świętej głoszono wiarę katolicką w języku heretyckim!“

Tymczasem katolicy niemieccy przedsięwzięli budowę kościoła Matki Boskiej na górze Sion i budowę wielkiego hospicyum niemieckiego przy bramie Damasceńskiej, skoro dawne hospicyum okazało się za szczupłem. W oczekiwaniu objęcia zarządu i kierownictwa nowego hospicyum, które stanie kosztem pół miliona marek w 1905 roku, misyonarze zajmują się tymczasem dwiema szkołami i opieką nad niemieckimi katolikami. Na czele domu jako superyor i rektor hospicyum stoi X. Schmidt, osobistość poważna i patryarcha kolonii niemieckich w Ziemi świętej.

Przez 33-letni pobyt w Palestynie i krajach okolicznych poznał Ziemię św. doskonale i należy do najlepszych jej znawców i powag z zakresu numizmatyki wschodniej. Swoim wpływem i licznymi stosunkami z najwybitniejszemi osobistościami Niemiec zjednał wielu członków dla Stowarzyszenia Ziemi św., które jemu powierzyło kierownictwo wszystkich budowli, mających stanąć w Palestynie jak kościoła Mariae Dormitio, klasztoru Benedyktynów z Beuronu na górze Sion i innych. Na jego wezwanie księgarnie niemieckie, jak Herdera, Schöningha, Kirchheima, Teubnera i inne przesłały całe



X. SCHMIDT

Superyor niemieckiego hospicyum w Jerozolimie.

mnóstwo ksiąg odnoszących się do Ziemi św. i studyów biblijnych; Curtius podarował swą grecką, Mommsen swą rzymską historyę; wogóle biblioteka starego hospicyum liczy dziś kilka tysięcy tomów. Tak samo i szkoła niemiecka świetnie się rozwinęła, obecnie uczęszcza do niej 80 chłopców. Zapatrywania swoje i sposób postępowania w szkole uzasadniał X. Schmidt w całym szeregu artykułów czasopisma p. t. *Ziemia święta*. Wychodząc z zasady wygłoszonej na generalnym zjeździe we Frankfurcie, że misyi nie można germanizować, bo to chybia zupełnie swego celu, podnosi przedewszystkiem, że charakter szkoły ma być arabsko-niemiecki, t. j. że dzieci mają być wychowywane dla własnego kraju, żeby były dobrymi w przyszłości chrześcijaninami. Z tego względu na pierwszym planie stoi tu język arabski; w tym języku uczą się dzieci katechizmu, modlą się i głosi się kazania. Na drugiem miejscu dopiero jest język niemiecki, przyczem rozchodzi się tylko o to, żeby dzieci umiały nim biegle mówić, czytać i pisać. Ten sposób postępowania zjednały też X. Schmidtowi uznanie, tak ze strony czynników kościelnych jak i świeckich. Dzieła nowsze o Ziemi św. i sprawozdania pielgrzymek niemieckich wyrażają się z najzupełniejszem uznaniem o pracy i postępowaniu X. Schmidta i widzą w nim gorliwego kapłana i godnego przedstawiciela katolickich Niemiec w Ziemi świętej. Pod jego kierownictwem pracuje czterech kapłanów poświęcających się już-to pracy w szkołach, już-to obsłudze wiernych. Krom rezydencyi w Jerozolimie i małej realnoćci w Emmaus mają jeszcze nasi konfratrzy jeden dom w Taagba nad jeziorem Genezareth w pobliżu Kafernaum, gdzie zarządzają kapliczką i jedną szkółką. Obecnie pracuje na tem stanowisku X. Klingenberg. I on przy pomocy zasiłków ze Stowarzyszenia Ziemi św. zamierza obecnie w Deïr Hanna w pobliskiej miejscowości wystawić kaplicę dla katolików; przy wykonaniu jednak swego zamiaru spotkał się z niesłychaną zaciętością muzułmanów, sprzeciwiających się budowie kaplicy. Cały zatarg przybrał groźny charakter, kilku chrześcijan przypłaciło to nawet życiem; innym powycinano drzewa oliwne, porywano

bydło, zboże, wogóle chrześcijanom groziła zupełna ruina. W końcu rzucili się muzułmanie na szkołę XX. Misyonarzy i wyłamali drzwi i okna. „Na to tylko czekałem — pisze X. Klingenberg we *Fryburskich misyach katolickich* z marca b. r. — zaraz wysłałem do niemieckiego konsulatu w Bejrucie energiczny protest przeciw gwałtom; to poskutkowało natychmiast, i na razie panuje spokój między stronami“. Budowa kaplicy, a raczej przerobienie obszernego domu na dom Boży już szczęśliwie dokonane.

Tej pracy konfratrów naszych w Ziemi św. tylko życzyć nam wypada najpomyślniejszych owoców i wzmożenia się wpływów katolicyzmu w tym kraju, okupionym już tylu niesłychanemi ofiarami.

X. Jan Rzymełka,
Dyrektor Dzieła Dziecięctwa P. Jezusa.

Afryka. — Abisynia. — Zaledwie kilka miesięcy temu, jak smutne wieści dochodzące z Abisynii obawą przejmowały wszystkich, którzy interesują się ewangelizacyą tej nieszczęśliwej krainy. Wybuchło prześladowanie powszechne i już się zdawało, że nadszedł koniec dla misyi i dla katolicyzmu w Abisynii.

Mamy list X. Edwarda Gruson, superyora misyi w Alitienie. Pisał go w lipcu 1904 r.

„W Abisyni prześladowanie stało się powszechnem. Aż do ostatnich niemal dni wahaliśmy się między obawą a nadzieją. Dzięki znacznej odległości, dzielącej nas od stolicy, jak również życzliwości prefekta w Agamie, mogliśmy się łudzić nadzieją, że misya nasza uniknie prześladowania.

Niestety jednak i nas ono dosięgło, tak, że prawdopobnie będziemy musieli znosić wszelkie jego następstwa. Dokonawszy w południowej części kraju dzieła zniszczenia, zagraża teraz prześladowczy prąd wszystkim naszym dziełom. Tym razem nieszczęście jest tem straszniejsze, że inicyatorem prześladowania nie jest jakiś podrzędny prefekt, ale sam Menelik II. wydał edykt wygnania naszego.

Oto dosłowny przekład listu monarszego do gubernatora tej prowincyi:

„Zwycięski lew z pokolenia Judy, Menelik II z łaski Bożej król królów Etyopii.

Oby ten list doszedł do Szuma Agamie Desta.

Ojciec nasz, Abuna Pietros przezemnie został wysłany. On więc tylko ma prawo nauczania religii w Tigrze. Tobie zaś polecam wypędzić wszystkich ludzi Abba Johannesa, znajdujących się obecnie w twojej prowincyi. Taką jest moja wola".

Zauważyć należy, że pod nazwą „ludzi Abba Johannesa" (X. Jana Coulbeaux, mego czcigodnego poprzednika), Negus rozumie nie tylko członków Zgromadzenia misyi, ale także kapłanów krajowców i wszystkich katolików.

Nieszczęśliwi więc nasi wierni mają do wyboru wygnanie albo odstępstwo. Łatwo można się domyśleć, z jaką niecierpliwością i niepokojem oczekujemy wyników interwencyi ministra francuskiego u dworu w Adis-Abeba".

To też z wielką radością donosi o 2 miesiące później X. E. Grüson, że niebezpieczeństwo minęło, dzięki energicznemu wystąpieniu francuskiego ministra, p. Lagarde. Jego król. Mość Negus odwołał edykt prześladowania i wygnania. Telegram zawierający tę wiadomość, nadszedł do Adigratu dnia 17 września 1904.

Oto dosłowne jego brzmienie:

„Do Szuma Agamie Desta!

Strzeż się dotknąć katolickich misyonarzy. Niech pozostaną na wszystkich swoich posterunkach".

Pomimo tego odwołania urzędowego są wszakże nasi konfratrzy w Abisynii wśród bardzo przykrych stosunków. Nadto w listopadzie zeszłego roku ciężko zachorował X. Gruson i jak się zdaje, dotąd jeszcze podejmować nie może żadnej pracy...

Takto ciężko doświadcza P. Bóg następców gorliwego apostoła Abisynii, Wielebnego X. Justyna de Jacobis. Ale może niezadługo ujrzymy go na ołtarze nasze wyniesionego, a wtedy pewnie przyczyna jego u Boga wyjedna strapionym

Misyonarzom obfitsze plony z tak uciążliwego żniwa. W ostatnich miesiącach wydał X. Demimuid prześliczny jego żywot w Paryżu.

Madagaskar. — Misyę południowego Madagaskaru oddała Kongregacya Propagandy w ręce naszych konfratrów. Wikaryuszem apostolskim jest tu X. Biskup Jakób Crouzet.

Są tu także Siostry Miłosierdzia. Jak ciężka tu praca dla nich, ile ofiar od nich się domaga i ilu poświęceń, tego dowodem choćby jedno z ich dzieł: wielki zakład dla trędowatych. Istnieje on we Farafangana. Przykra to choroba ten trąd. Ciało na żywym człowieku gnije i kawałkami odpada. To też chorzy nadspodziewanie gubią palce i ręce wśród pracy lub przechadzki. Ropiące ciągle ciało wstrętny wydaje odor. Siostry same opatrują tych nieszczęśliwych; przez kilka godzin dziennie muszą te otwarte, gnijące i ciekące rany starannie zmywać, oliwą smarować i bandażować. I takich chorych mają w swoim zakładzie przeszło 400. Sióstr zaś do obsługi tej ogromnej liczby jest tylko 5. A raczej było ich 5, bo jedna z nich właśnie poszła do nieba po nagrodę za swoje nadludzkie poświęcenia. 2 inne zachorowały, a więc cały ciężar pracy spada na 2 pozostałe siostry.

X. W. Szymbor.

Sprawozdanie z misyi odprawionych przez XX. Misyonarzy z Kleparza.

Mszana dolna.

(Ciąg dalszy).

Rozłożyło się Misyę na cztery serye, każda po trzy dni z okładem. Przezacny X. kanonik i dziekan Jankowski tak tu lubiany, że za masami tysiącznemi pokutników szły zastępy spowiedników. Dawno nie mieliśmy misyi, w którejby się tysiącami dysponowało, a tu tysiące szły za tysiącami. I tak: kobiet ze staruszkami było 2600, dziewcząt 1100, chłopców 1110, gospodarzy 1600. Nieco już musiało przed misyą wyjechać częścią w Prusy, częścią na Węgry. Kobiety jeszcze najwięcej bałamuciły — jakoś nie mogły naszego systemu zrozumieć, do głębszych spowiedzi się przyzwyczaić; za to inne stany szły znakomicie. U chłopów np., jaka to gorliwość. Nie czekali, aż ich Misyonarze pociągną — sami zelatorską czynność rozwinęli. W Mszanie miał jeden chłopina niezgodną żonę — uciekała od niego — a podobno i on od niej. W czasie misyi osobno mieszkali. Żona chodzi na nauki, a mąż nie może się doczekać, żeby też przyszła go przeprosić — boć pierwej Pan Bóg Adama stworzył, potem Ewę. Co szedł koło jej chaty, to napisał jaką kartkę, żeby ją do zgody nawołać i przylepił ją ciastem na wierzbie. Jedno takie „monitum charitativum" przynieśli mi ludzie — i to sobie na pamiątkę zabrałem. Jest tam napisane: „K... J... czyli Pierąka odbyła spowiedź świętą — kradzką (sic) tak zwyczajnie jak zbójnica. co nie przeprosiła chłopa swojego. Ja będę meldował u Dziekana i przed księżami mesyjarzami". — Kiedy przyszła serya chłopów, zwołało się obydwie strony, pogodzili się w kancelaryi — i odtąd grzecznie żyją.

Wójt znowu z Kasinki Małej takie nam pismo wystylizował i opatrzył pieczęcią gminnego urzędu: „Z gorliwą prośbą i wielkiem zaufaniem żądam i proszę o takie zarządzenie, żeby ludzie byli gorliwie zawezwani do ślubowania i to w taki sposób z każdej gminy osobno i to przed Komunią świontą (sic.). Ja dla swoich obieram i proszę w kaplicy po prawej stronie. Ażeby w czasie ślubowania od rozpalających napojów nie było wolno klęczeć, tylko mają stać ci co nie chcą ślubować, lub mają wyjść z kościoła, żeby nie otrzymali błogosławieństwa św., bo ci się boją, żeby żydzi majątku nie stracili, przeważnie ci ze Mszany. Jest to największem szczęściem dla ludu wiejskiego, wyrzec się trunków rozpalających raz na zawsze. Tak dziewczęta, żeby były wezwane osobno z mojej gminy, chłopcy tak samo, gospodarze tak samo. Którzy potrzebują to załączam wykazy gospodarzy, którym się należy ślubować, piszę grubemi literami, którzy chcą i nie chcą ślubować, średniemi, a którzy tylko na wezwanie czekają, drobnemi literami są wypisani. Tak samo chłopcy; dziewczęta, tylko proszę bez wykazów wezwać. Zresztą się kłaniam i życzę wszelkiego daru bożego. Amen". *Jan Wróbel — wójt.*

Pieczątka.

Ślubowanie szło, jak na komendę, stan po stanie garnął się pod sztandar św. Trzeźwości. Kobiet przystało 1700, dziewcząt 850, chłopców 950 gospodarzy 1200 — a starzy to i na innych misyach ślubowali. — Kiedy lud z gorzałką zerwał, to i dobrobyt jego zapewniony i dalsza nad nim praca ma jakiś trwały fundament. W samej gminie Kasince, w przeciągu niespełna jednego roku, tyle oszczędności zebrali chłopi, że zakupili dwór, rozparcelowali go między siebie, prócz tego chcą kościół stawiać i o osobnego expozyta się starać. Wikaryusz, dotąd biedak, musiał w żydowskim (eheu) domu mieszkać. Po misyi wybudowali mu kamienicę, X. dziekanowi starą plebanię przerobili nie do poznania i prócz tego dla grabarzy kamieniczkę obok wikaryjki wystawili. To zrobił

lud, który przed laty wyczerpał się do ostatka na budowę kościoła — a zrobił chętnie bez żadnych rekursów.

Misya rozpoczęła się na zajutrz po przyjeździe, bardzo solennie. Do spowiedzi, jak wspomniałem, w konfesyonałach i za kratką, kandydatów aż pod sam koniec misyi nie brakło. Prócz sąsiadów z parafii czuliśmy dobrze sąsiedztwo Przezacnych OO. Cystersów ze Szczyrzyca. Zmieniali się kolejno. Najwięcej dotrzymywał placu O. Eustachy sławny tu na całą okolicę. Brał udział w słuchaniu spowiedzi, już to z klasztornego tytułu, już też, jako chwilowo aplikowany wikaryusz w Dobrej. Pierwszy raz tu w Mszanie spotkaliśmy się z nim. Jak już przyszły matołki, kaleki ze swymi różnorodnymi niedoborami, co się nie dostało do X. Zycha z Rabki, to do O. Eustachego mierzyło. Przyszła kobiecina staruszka, nieco głucha, ani stać, ani siedzieć, ani klęczeć nie mogła — i trafiła na O. Eustachego. Morduje jak może w kościele a gdy nie mógł dać rady, wyprowadził ją na schody. Ona się sparła na jednej, on na drugiej stronie — i tak jakoś się porozumieli. Do spowiedzi szło, co żyło w parafii. Za zdrowymi na rękach, nogach i głowie, przychodzili i ułomni, a jak i tych brakło, brali się do dziadów z pod kościoła — na nich zwykle natrafiał X. Zych z Rabki.

Byli tu jeszcze parafianie, którymi wypadło osobno się się zająć: katolicy, co jak Nikodem „w nocy“ do P. Jezusa przychodzą — a wiele mu się nie lubią naprzykrzać — to tak zwana inteligencya (czy negligentia?). Niektórzy rzeczywiście po biurach i urzędach zajęci; inni, to katolicy tylko przy opłatku i święconem, żyją tradycyami narodowemi a nie przykazaniami Kościoła. Aby i ich w odpowiedni sposób do spowiedzi, bodaj przy tem pospolitem ruszeniu, ściągnąć, zarządziło się osobne dla nich konferencye. Miewał je wieczorami X. Głogowski. Przy wielkim ołtarzu ustawiono mu stolik i fotel — i tak im dowodził. Z inteligentnikami przychodzili zwykle obydwaj grabarze i stary organista, Klakurka. Kościół obszerny a wieczorami prawie pusty, auditoryum szczupłe, — no — ale konferencye były — i co najważniejsze,

pod koniec misyi wszyscy, jak celnicy, skruszeni do spowiedzi przyszli.

Owoce misyi kwitną zaledwie w trakcie pracy Misyonarzy — dojrzewają zaś później. Daj Boże doczekać się owoców z tych kwiatów. Następnego roku miałem szczęście i pociechę słuchać tu spowiedzi w poście i widziałem, jak gładko szły te masy, przedtem tak niesforne. Przez $1\frac{1}{2}$ dnia wyspowiadaliśmy w kilku coś $1\frac{1}{2}$ tysiąca — to znak najlepszy, że misya nie nadarmo się odbyła. *Confirma hoc Deus!*

Szczyrk.

Potem przerzuciliśmy się znowu w inne zupełnie strony. Tarnowskie rachunki podkreślone: wypadło teraz na niwę krakowską się przenieść. Z dekanatu żywieckiego jużeśmy swoją część poprzedniej jesieni uwinęli, mimo to J. E. X. Kardynał Puzyna naznaczył nam jeszcze dwie parafie, w których poprzednio inne Zgromadzenia pracowały. Szczyrk, gdzie mieli Misyę 1895 r. OO. Franciszkanie, w Witkowicach i Mikuszowie, gdzie byli OO. Jezuici.

Do Szczyrku aniśmy wiedzieli, którędy się dostać — tak cały ten kąt był jeszcze dla nas zagadkowy, łubośmy już całą dyecezyę krakowską przeszli. Taką nam też przymówkę napisał X. proboszcz Kufta, kiedyśmy się do niego z misyą zgłosili: „Szczęśliwy ten Szczyrk, pisze, bo wie o nim jedynie Pan Bóg i cesarz. P. Bóg, bo dusze niewinne do nieba przyjmuje, a cesarz, bo podatki zbiera. Muszę to z tego wnosić, bo XX. Dobrodzieje, którzy krążycie po szerokim świecie, nie możecie prostą drogą do niego trafić“ i t. d.

Trzymając się cennych wskazówek X. proboszcza Kufty, wybraliśmy się z Krakowa w sobotę dnia 9 maja po godzinie 9-tej rano, koleją północną na Dziedzice, Bielsko i stanęliśmy około godziny 3-ciej popołudniu, wysiadłszy na przystanku w Witkowicach. Misya tego samego dnia zaczęła się na majowem nabożeństwie. Lud, osławiony jako dziki, niesforny, bardzo nam się spodobał, lubo widzieliśmy sami, że był grubo zaniedbany. Spekulacya, przymiot właściwy góra-

łom, tu bardzo się rozwinęła. Kilka lat temu prawie równocześnie z poprzedniemi misyami i wizytą kanoniczną, chcieli na gwałt u siebie cuda wywołać, żeby odpustowe miejsce stworzyć na poczekaniu. Jakieś dziewczę opowiadało, że widuje Najśw. Pannę „na bucku". Górale, Ślązacy a nawet Orawcy zaczęli ciągnąć kompaniami. Wybudowano kapliczkę z desek, obok niej źródełko tryska. Jakoś jednak te widzenia ustają i zapał stygnie coraz bardziej.

Rozdzieliwszy parafię na 2 partye, odprawiliśmy misyę szczęśliwie. Kobiet i dziewcząt wyspowiadało się 900: gospodarzy i chłopców 600 — i prawie wszyscy wyrzekali się pijaństwa.

Wilkowice.

Dnia 17 maja w sobotę, wszyscy trzej t. j. XX. Krzyszkowski, Trawniczek i ja, przeprawiliśmy się ze Szczyrku do Wilkowic, by wieczorem nową zacząć pracę. Jest to expozytura, od której znowu niedawnemi czasy utworzono w Mikuszowicach filię. Tu już lud o śląskim zakroju; prawie wszyscy po sąsiednich fabrykach, w Bielsku, Mikuszowicach i Białej siedzą. Wieczorami tylko można ich mieć pod ręką. Prądy nowoczesne w bardzo wielu głowach pozawracały pojęcia. Gazety socyalistyczne w modzie: kościół i ksiądz już przez bardzo wielu „urzędowo" traktowani. Naród honorny, o lada co gotów się obrazić, a nawet sądzić. Wogóle szła tu cała robota jakoś po amerykańsku, nie po swojsku. Jest (przynajmniej była) w parafii paczka zdeklarowanych socyalistów, wichrzycieli — ci najwięcej burzą, utwierdzani co rok przez swego proroka z Krakowa, który tu do Bystrej na świeże powietrze zjeżdża. Prorok ów czerwony do kościoła nigdy nie idzie, a gdy widzi ludzi idących na niedzielne nabożeństwo, to się z nich śmieje i powiada, że jak się kto dobrze pomodli to i w lesie ważne.

Na tych fałszywych proroków uderzało się w porę, nie w porę — przy każdej sposobności. Odgrażali się, że nam zdechłego psa u klamki uwieszą etc. Jednak na końcu nieco

spuścili z tonu. Niektórzy weszli w siebie, przyszli się z Bogiem pojednać; inni — (było ich zaledwie kilku) skoro ich inni opuścili i wyśmiali — podobno niedługo po misyi wybrali się do Kanady.

Dobrze znowu świadczy o tutejszych parafianach wspaniały, gotycki kościół, który w ostatnich latach wystawili. Wewnątrz jeszcze nie zupełnie wykończony i urządzony — jednak zawsze, jak na wieś — dzieło wspaniałe. Podobno udało się księżom tutejszym wyzyskać u parafian chętkę popisania się czemś osobliwszem, że coś takiego mają, czego nigdzie indziej niema. Kościoły w okolicy prawie wszędzie stare drewniane: oni musieli mieć murowany a w nim ołtarze, ambona, i to znowu takie, że im podobnych gdzieindziej nie znajdzie.

Praca szła powolnie, co się jednego dnia wyspowiadało wieczorem, to na drugi dzień raniutko o godz. 4-tej wykomunikował X. Proboszcz — i szli do pracy. Wśród misyi wypadła niedziela i Wniebowstąpienie Pańskie. W obydwa te dni kościół był przepełniony ludem; przyjechało kilku z okolicy księży, pomogli spowiadać — to się prawie wszyscy mogli z Bogiem pojednać. W terminie od 16 do 22 maja wyspowiadało się się ogółem 2600 osób; ślubowało świeżych 600, inni ponawiali. — Nauk powiedzieliśmy tu i w Szczyrku po 14.

Mikuszowice.

Z tego rachunku zostały jeszcze Mikuszowice, maleńka filia Wilkowic. Przybyliśmy tu znowu w sobotę dn. 23 maja i na majowem nabożeństwie zaczęło się pracę. Lud jeszcze więcej fabryczny i więcej nowoczesnemi prądami owiany, jak w Wilkowicach. Jedynym dniem, kiedyśmy ich mogli dostać, to niedziela. Znowu nadjechało nieco Księży ze sąsiedztwa i mogliśmy w tym dniu fabrykantów zaspokoić, nieliczną resztę wyspowiadaliśmy w poniedziałek. Wyspowiadawszy ogółem 600 osób, nauk powiedziawszy 10 — już we wtorek dnia 26 maja, ruszyliśmy z tej wyprawy rano na

Bielsko do Krakowa i około godziny 10 stanęliśmy u swoich. Do św. Trzeźwości w Mikuszowicach przybyło świeżych 200. Trudna to praca wśród takich fabrykantów; tu by chyba nic naszym żelaznym systemem nie zrobił; trzeba nieco elastyczności dołożyć. Zarządcy fabryk na zawołanie nie puszczą robotnika; inni znowu nazywa się, że są w domu; aleć i oni muszą tamtym posiłek na czas oznaczony przygotować; pilnować domu, dzieci etc. — wogóle nie można ludu w ręce dostać i potrzymać go, pouczyć tak, jak w innych spokojnych parafiach. Tu ze wszystkiem trzeba się uwijać, wszystko obcinać — bo inaczej wcale nie przyjdą. Tu i w Wilkowicach była to praca bądź co bądź osobliwsza, a skorośmy już po rozmaitych miejscach bawili, wartało choćby dla samej ciekawości i tego rodzaju pracy spróbować.

Bogumin (Oderberg).

Jadąc z Mikuszowic do Krakowa, spotkaliśmy w Dziedzicach księdza Tomasza Dudka, proboszcza z Bogumina, który właśnie do nas się wybrał, by nas zaprosić na Misyę do siebie. Porozumieliśmy się, częścią wtenczas w przejeździe, częścią listownie. Stanęło na tem, że zjechawszy do Bogumina w sobotę przed św. Trójcą, nazajutrz w samą uroczystość rozpoczęliśmy ośmiodniową misyę.

Z początku było nas czterech: XX. Kamiński, Krzyszkowski i ja — z Kleparza — tudzież X. Głogowski ze Stradomia. Ten ostatni, w czasie pierwszej seryi, miewał wieczorami niemieckie konferencye; gdy zaś ja w Boże Ciało dnia 11 czerwca musiałem odjechać, by towarzyszyć Najprzewielebniejszemu X. Biskupowi Nowakowi, wszedł do naszego szeregu, ponosząc aż do końca ciężar dnia i upalenia w Boguminie. Dwa razy poprzednio wzywał nas tu X. proboszcz Dudek na ostatki, żeby jakoś lud obojętny rozruszać: znać pewną ku lepszemu zmianę, ale jeszcze zimnota i stara obojętność przerażająco chłodzą. W czasie misyi wypadło Boże Ciało — byliśmy na procesyi. Ołtarze szumnie poubierane, aparaty kościelne wspaniałe, a lud obojętnie idzie, najprost-

szej pieśni nie umieją śpiewać — czy im się nie chce. Śpiew ludu zastępują tu trąby — i z tem obojętnisiom tutejszym bardzo wygodnie... a przecież ich z trąbami Pan Bóg nie stworzył, jeno z ustami, z ludzkim głosem i sercem. Oj! lepiej Mu jakoś, kiedy Go u nas w Galicyi noszą wśród strzech wieśniaczych, ołtarze lipiną umają — czasem z moździerza hukną — aniżeli tam wśród kamiennych bruków, kamiennych domów i kamiennych serc.

W kościele również obojętność wielka. Kiedy zadzwoniono, przyszli; po nabożeństwie lub kazaniu natychmiast wszystko do domu się wynosiło. Nawoływaliśmy do spowiedzi, czekali na nich — praca była żmudna. Co się dało zrobić, tośmy zrobili, resztę zostawili miłosierdziu Bożemu.

Ogółem wyspowiadało się kobiet i dziewcząt 1200, mężczyzn i chłopców 900. Do św. Trzeźwości przystąpiło około 1100 osób — dobre i tyle.

Aniśmy przewidzieli, że tu będzie ostatnie na razie pole pracy dla naszego misyjnego kółka. Niedługo zaczęło się rozlatywać: X. Krzyszkowski od 7 lipca objął kapelanię u św. Łazarza w Krakowie; za nim pod jesień wyjechał X. Trawniczek do Północnej Ameryki na misye — obydwom „Szczęść Boże“ na nowych posterunkach!

Ostatni opuścił nas Ojciec Kamiński, niezmordowany — tyloletni Misyonarz. — Serce jego jednak niewątpliwie zostało przy nas. — Sam zażywajac szczęścia u stóp Jezusa, którego ogłaszał maluczkim, wyprosi nam potrzebne siły duszy i ciała do dalszej pracy misyjnej.

X. J. Sokołowicz.

Ameryka Północna.

Manayunk, 15 lutego 1905 r.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Łaska Pana Naszego niech zawsze będzie z nami!

Ulegając słusznym żądaniom Redakcyi *Roczników* i prośbom konfratrów, których losy nasze i praca, wyznaczona nam przez Opatrzność Boską, więcej zainteresowały, zasyłam garść luźnych wiadomości, które starałem się zebrać i powiązać w porządku chronologicznym.

Z Krakowa wyjechaliśmy rannym pociągiem we czwartek 11 sierpnia 1904 r., dzień zapowiadał się pogodny. Liczni konfratrzy z Domów krakowskich na czele z X. Superyorem Lewandowskim przybyli na dworzec, aby poraz ostatni uścisnąć nas i pożegnać. Było to pożegnanie czułe i smutne, bo przyszłość unosiła się nad nami niejasna i pełna tajemniczości. Niejednemu wprawdzie powiedzieliśmy przy pożegnaniu: „może ostatni raz widzimy się na tej ziemi“, jednak nigdy nie przypuszczałem, aby bezlitośna śmierć rozpoczęła swe żniwo tak rychło i tak okrutnie, ścinając, jak ów kosiarz na polu, na prawo i lewo dojrzałe zboże i zakwitające zaledwie kwiatki. W wagonie, lubo było nas kilku (bo X. Sup. Kryska, któremu trudno było rozstać się z nami, towarzyszył nam do Trzebini) rozmowa nie była ożywiona. I nic dziwnego. Serce każdego przepełnione było różnemi uczuciami. Opuszczaliśmy ziemię, która nas wydała i wychowała, rodzinę, konfratrów, z którymi z woli Boga dzieliliśmy dolę i niedolę, a czekał nas świat nowy, nowi ludzie i nowe stosunki, które trzeba będzie dopiero poznawać. To też niebo wydawało się jakieś piękniejsze, promienie słonecznie jaśniejsze niż zwykle, łąka zdawała uśmiechać się do nas kolorami swych kwiatów i zie-

lenią trawy, a każdy krzaczek, każde drzewo było jakieś miłe i swojskie, bo na tem wszystkiem zawisło pożegnanie i owo tajemnicze „poraz ostatni". Wreszcie zawołał konduktor „Trzebinia, a X. Kryska, pożegnawszy nas czule, wysiadł, aby powrócić do konfratrów i zawieść im od nas ostatnie słowa pożegnania.

Potem przejeżdżaliśmy przez zamożne miasta i wioski Śląska pruskiego, ciekawie patrząc przez okna wagonu na budynki, kopalnie, fabryki i lasy sterczących kominów, które kłębami dymu zasłaniały widnokrąg i szerzyły zaduch w powietrzu. Kraj ten wygląda jakby wielkie kłębiące mrowisko, w którem wszyscy w ciągłym ruchu, wyzyskują każdą chwilkę czasu, czy to pracując na powierzchni ziemi, czy też kopiąc w pocie czoła w głębi czarny węgiel. Jednak ten pracowity lud nie zapomina o Bogu wśród znojnej pracy, jak świadczą liczne i wspaniałe z czerwonej cegły świątynie i ich złote, mieniące się w słońcu, krzyże.

W samo południe przybyliśmy do Wrocławia, prastarej stolicy piastowskiej. Siostry Miłosierdzia, mające w tem mieście ładny szpital, zawiadomione listownie o naszym przyjeździe, wybiegły na powitanie, skoro fiakier zajechał przed ich dom. Parę godzin, które pozostawały do wieczora, obróciliśmy na odpoczynek i zakupno drobnych szczegółów, potrzebnych w podróży, które w Krakowie wyszły nam z pamięci. Nazajutrz wyszedłem z X. Sołtysikiem, aby zobaczyć osobliwości miasta. Chwile, spędzone w wrocławskim Domu WW. Sióstr Miłosierdzia, należą do najmilszych w podróży. Za ich gościnność i serdeczne przyjęcie należy się im publiczne podziękowanie. Tegoż dnia tj. w piątek po obiedzie wyjechaliśmy do Berlina. Dziwnym trafem spotkałem na dworcu X. Bilczewskiego, Arcyb. lwowskiego, który jechał odwiedzić X. Kard. Koppa w jego letniej rezydencyi. Poznawszy nas, Ekscelencya, przywitał z wrodzoną sobie serdecznością, pocieszył przed trudami podróży, dał na pamiątką obrazki Matki B. Nieustającej Pomocy i pożegnał, życząc błogosławieństwa Bożego w pracy, gdyż na dalszą rozmowę nie było już czasu. Za-

brawszy X. Sołtyska, który nadjechał ze Śląska, gdzie pożegnał jeszcze swego brata, pomknęliśmy do Berlina.

Kraj między Wrocławiem a Berlinem przedstawiał inne widoki. Nie zobaczysz tu ani kopalń, ani fabryk, ale zato urodzajne łany, wzorowo prowadzone łąki, a na krańcach wielkie, ciemne lasy. Wszędzie znać dobrobyt i porządek. Każda wioska murowana i piękna, co najmniej, jak nasze miasta galicyjskie. Smutno jednak i tęskno sercu kapłana, bo prawie nigdzie nie widać krzyża, a zato wspaniałe zbory protestanckie są w każdej miejscowości. Stolica nad Spreją przedstawiała się bardzo imponująco wśród cieni nocy i światła elektrycznego. Zajechaliśmy do kat. hotelu „Krebs-Union-Hotel-Schinkel-Platz“, do którego dostaliśmy adres we Wrocławiu. Jest to hotel wygodny, czysty, obsługa dobra, lecz ceny dosyć wysokie, ponieważ hotel ten, położony jest w samem śródmieściu. Nazajutrz tj. w sobotę pożegnał nas X. Sołtysik z Br. Kazimierzem, którzy pragnęli czemprędzej stanąć w Paryżu. Mszę św. odprawialiśmy w kościele św. Jadwigi, bo ten był nam znany z listów konfratrów, a przytem do niego było nam najbliżej, bo zaledwie kilka minut drogi.

Katolicy w Berlinie, lubo ich garstka i w dodatku rozproszeni wśród tysięcy protestantów, wyznają wiarę swą mężnie i okazują ją śmiało w całem postępowaniu. W niedzielę miałem Mszę św. na życzenie miejscowego proboszcza o godz. ósmej. Zadziwiłem się mocno, gdy odwróciwszy się do ludu na Komunię św. zobaczyłem kościół pełny pobożnych, a balaski, otoczone zewsząd przeważnie przez mężczyzn, oczekujących na P. Jezusa, chociaż była to zwykła niedziela. To samo widziałem na innych Mszach. Zdaje się, że walka i codzienne utarczki z nieprzyjaciółmi zbawienia, pogłębiają wiarę i zwiększają w sercach miłość do Eucharystyi, tego pokarmu mężnych, który wzmacnia ich siły i podwaja męstwo podobnie jak niegdyś pierwszych chrześcian w walce z cezarami i całem pogaństwem.

Berlin, jak wspomniałem robi imponujące wrażenie. Ze wszystkiego widać, że to stolica potężnego i wszechświato-

wego mocarstwa. Te zamki królewskie, zbudowane z granitowych głazów, te postacie konne cesarzy i znakomitych wodzów, zakute w spiż, a patrzące zuchwale martwemi oczami na przechodnia, ci żołnierze o marsowej postawie, stojący u bram zamków z gołemi szablami lub z karabinem, gotowym do wystrzału, gwałtem wmawiają w przechodniów, że potęga, hart. dyscyplina w tem państwie jest żelazna, że nie prędko jeszcze, zjawi się mąż, któryby potęgę tego państwa skruszył a mieszkańcom jego ujął buty i arogancyi. W Berlinie, a przynajmniej w jego sercu, panuje pewien nastrój, powiedziałbym jakiś uroczysty i świąteczny. Cisza wszędzie mimo wielkiego ruchu na ulicach, bo asfalt tłumi chód ludzi, turkot powozów, tylko konie wydzwaniają głucho kopytami w regularnych odstępach. Zwiedziłem, korzystając z wolnego czasu, najładniejszą część Berlina, która zaczyna się od parku, zwanego „Thiergarten“. Jest to olbrzymi park, mający obszaru 255 hekt., zarosły wysokiemi, staremi drzewami, w cieniu których zapomina się na chwilę, że niedaleko jest wielkie miasto, bo tu unosi się wszędzie świeże powietrze. Wybitnym urokiem tego ogrodu jest jego naturalność, świeżość trawy i zupełna swoboda, jak w lesie, zostawiona drzewom i krzakom. „Siegesalee“, z obu stron ozdobiona posągami z białego marmuru, przecinająca park na dwie części, jest głównem miejscem spacerowem dla mieszkańców Berlina. Nad główną drogą, prowadzącą do miasta wznosi się potężna brama „Branderburger-Thor“, wybudowana na wzór ateńskich Propylejów. Podzielona okazałemi kolumnami doryckiemi na 5 otworów, z których środkowym przejeżdżać mogą tylko dworskie powozy. Na szczycie umieszczono kwadrygę bogini Zwycięstwa, wykutą z bronzu. Od tej bramy zaczyna się najszersza i najładniejsza ulica berlińska — alea lipowa. W środku ulicy rosną nie duże i w znacznej części zgrzybiałe lipy w dwóch szeregach, a z obu stron wznoszą się wspaniałe gmachy, jak: niektóre ambasady mocarstw zagranicznych, pałace ministerstwa, „Kaisergallerie“ czyli ładny pasaż, a w nim bogate sklepy i „Panopticum“, gdzie oglądać można liczny zbiór

woskowych figur, przedstawiających różne światowej sławy znakomitości. Zwiedziłem wielkiej wartości muzea królewskie, stare i nowe, gdzie artyści lub historycy znaleść mogą nieocenione skarby sztuki greckiej, rzymskiej i z czasów odrodzenia; byłem w galeryi obrazów, gdzie, jak mówią, niema wprawdzie nagromadzonych takich arcydzieł jak w Dreznie lub paryskiem Louvrze, ale zato wszystkie szkoły i wszystkie epoki malarstwa mają tam swych niepoślednich reprezentantów. Można więc z łatwością uczynić sobie ogólny pogląd na rozwój tej sztuki pięknej.

Berlin pożegnaliśmy w poniedziałek wczesnym rankiem. Wsiedliśmy na dworcu „Lehrter" na pociąg, idący do Hamburga. Pociąg idzie krajem równym, nie obfitującym w malownicze widoki, ale uprawionym jak ogród; w miarę jak zbliża się do Hamburga, okolice stają się coraz wilgotniejsze. Napotyka się liczne strumienie, kanały i rowy lub moczary, porosłe trawą i wysokim szuwarem. O godzinie pierwszej stanęliśmy na dworcu hamburskim. Zacny X. Kisielewicz, prawdziwy dobrodziej polskich emigrantów, czekał na nas na dworcu. Wzięliśmy fiakra, aby nas zawiózł do hotelu, będącego w pobliżu mieszkania X. Kisielewicza, ponieważ on miał załatwić nasze interesa i udzielać nam wskazówek na dalszą podróż morską.

W Hamburgu, jak się pokazało, są same protestanckie hotele. Zajechaliśmy przed jeden z nich, lecz właściciel, widząc kat. księży, a między nimi X. Kisielewicza, którego Niemcy nie lubią dla jego patryotyzmu i wielkiej energii, z jaką dopomina się zawsze o prawa, przysługujące emigrantom, odmówił nam mieszkania, tłumacząc się, że wszystkie pokoje zajęte. Złożyliśmy tymczasem podróżne torby w mieszkaniu X. Kisielewicza, który jest wikarym przy kościele św. Michała dla Polaków, a mieszka razem z niemieckimi księżmi, obsługującymi ten kościół i poszliśmy na obiad do restauracyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Siostry Miłosierdzia w Polsce i ich usługi po szpitalach wojskowych.

Pięć lat po przyjeździe Sióstr Miłosierdzia do Polski, podziwiał św. Wincenty dobroć Opatrzności Bożej, że posługuje się dziwnymi wypadkami, ażeby użyć Sióstr Miłosierdzia do tych samych dzieł w dalekich krajach, które Zgromadzenie wykonywało w kraju ojczystym.

W trzy lata po przybyciu Sióstr Miłosierdzia do Warszawy, w r. 1655 wybuchła Wojna Szwedzka. Z błyskawiczną szybkością zbliżał się nieprzyjaciel ku stolicy, zmuszając Maryę Ludwikę do szukania przytułku na Śląsku, dokąd oprócz Wizytek zabrała też i trzy Siostry Miłosierdzia. Oderwane od prac, które już tak bardzo pokochały, szukały dzielne córy św. Wincentego pociechy w pielęgnowaniu chorych i w opiekowaniu się biednemi dziećmi w Opolu. Tymczasem Opatrzność gotowała już dla nich nowe dzieło, któremu ich siostry we Francyi od dawna już oddawały się z wielkiem zamiłowaniem i zaparciem się siebie. Sławna obrona Częstochowy odwróciła szalę zwycięstwa na korzyść Polaków. Zastępy nieprzyjacielskie zaczęły powoli ustępować, umożliwiając bezpieczny powrót królowej do Krakowa. Niedaleko Krakowa, starej stolicy Polski spotkała wielką liczbę rannych, których powierzyła opiece Sióstr Miłosierdzia.

Pozwólmy, niech sam św. Wincenty opowie nam radość która przepełniała jego serce, kiedy się dzielił tą wiadomością ze swemi córkami na konferencyi w dniu 8. września 1657 r.: „Chcę się z wami podzielić wiadomością, która bez wątpienia zgotuje wam wielką radość. Oto jeden z naszych Misyonarzy pisze mi list z Polski, w którym donosi mi o obleżeniu Warszawy, przyczem zamieszcza następującą wiadomość: Kró-

lowa wysłała mnie i Siostry Miłosierdzia do pielęgnowania rannych żołnierzy. — Jaką pociechą przepełnia mnie ta wiadomość! Dziewice mają odwagę iść na pole walki? Jakże! Siostry Miłosierdzia z domu macierzystego z Paryża, mieszkające naprzeciwko domu św. Łazarza, nie tylko w Paryżu odwiedzają biednych rannych, ale aż w Polsce! Ach! moje córki, czy znacie wy coś podobnego? Czy słyszałyście kiedy o czemś podobnem, żeby dziewice w wojsku się czemś podobnem zajmowały? Co do mnie, nie widziałem nic takiego i nie znam takiej kongregacyi, którąby się takiemi dziełami zajmowała, do jakich Bóg powołał wasze towarzyszki. Ach! moje córki, jakżeście powinny P. Bogu dziękować z całego serca za to, jak się uświęcać, żeby godnie służyć w waszem powołaniu! Oto widzicie, P. Bóg ma względem was wielkie zamiary, bylebyście tylko były posłuszne jego wezwaniu i zachowywały wiernie reguły. Ach! Zbawicielu, czyż to nie podziwienia godne, widzieć pobożne dziewice, chodzące po polach bitew, i to dlaczego? Oto żeby naprawić to, co źli zniszczyli. Tak, ludzie tam niszczą, zabijają, a one im życie ratują; ludzie ludzi wysyłają do piekła (albowiem zawsze znajduje się w czasie bitwy wiele takich nieszczęśliwych dusz, które mają sumienia obciążone grzechem śmiertelnym), a oto biedne dziewice według możności otwierają im podwoje nieba!"

Od r. 1654, t. j. od czasu kiedy pierwsze Siostry wyjechały do Calais dla pielęgnowania rannych, św. Wincenty często Siostrom Miłosierdzia wspominał o tem szczytnem posłaniu, wykazując im zarazem w jakim duchu powinny wywiązywać się z zadania; wspominał o wielkiem dobru, które tam mogą robić, o zasługach, które mogą zabrać, o niebezpieczeństwach, których powinny unikać; dał im przepisy życia, jako normę działania we wszelkich możliwych okolicznościach, w których mogłyby się znaleść, gdyby nadszedł rozkaz udania się na pole bitew. Jako założyciel, miał św. Wincenty i łaskę i posłannictwo utwierdzania podstaw dzieła, które miało się stać przywilejem Zgromadzenia; zasługi zebrane przez Siostry Miłosierdzia pod okiem Świętego, miały

się odtąd stać udziałem wszystkich wieków i wszystkich krajów.

Już przeszło dwa wieki upłynęły, a z wysokości niebios już kilkakrotnie wzywał św. Wincenty swoje córki do zbożnego obowiązku pielęgnowania rannych w nieszczęśliwej Polsce, za którą tak często sam się modlił i innych do tego zachęcał.

W r. 1863 uczyniła Polska nowy wysiłek do odzyskania swej niepodległości, do przywrócenia wolności Ojczyźnie i religii. Początki powstania wiele obiecywały; mała armia ochotników w cudowny jakiś sposób odnosiła zadziwiające sukcesy. Wtedy to komitet zorganizowany dla starania się o rannych zwrócił się z prośbą do Wizytatorki SS. Miłosierdzia w Warszawie o przysłanie Sióstr do pielęgnowania chorych. Sytuacya była bardzo drażliwa. Trzeba było prosić gubernatora o paszport, ażeby módz oddać się posłudze tych, którzy się jawnie ogłosili nieprzyjaciółmi Rosyi. Ale czyż było możliwem, żeby Siostry Miłosierdzia odmówiły prośbie tych, którzy cierpieli opuszczeni od wszystkich! Wizytatorka czyniła w tym celu zabiegi bez nadziei uzyskania jakichkolwiek pomyślniejszych rezultatów; ku wielkiemu atoli zdziwieniu, paszporty zostały jej bez żadnych trudności doręczone. Na żądanie Komitetu Narodowego, natychmiast odjechały cztery Siostry wraz z jednym lekarzem do Poddębicy, miasta dość od Warszawy oddalonego; tam znajdował się ambulans polskich powstańców w dworze całkiem dla rannych przeznaczonym. Siostry Miłosierdzia musiały się podzielić, albowiem już przed Poddębicą oczekiwali ich opieki inni ranni powstańcy.

Podczas kilkunastu dni wszystko szło dobrze. P. Bóg podtrzymywał siły swych służebnic. Niczego im do pielęgnowania chorych nie brakowało, bo ambulans był hojnie ze wszech miar zaopatrzony przez okolicznych obywateli. Nagle wśród ciemności nocnych wkroczyła armia rosyjska przy odgłosie muzyki do Poddębicy. Ogłoszono stan oblężenia, a biedni ranni za buntowników uważani, stali się jeńcami zwycięzców. Jaki los ich czekał? Jak zaradzić potrzebom ambulansu, skoro komunikacya przerwana? Takie były troski Sióstr! Łatwo

sobie można wyobrazić ich niepokój i smutek! Tymczasem odpowiedzialność za nieszczęśliwych rannych ciężyła na nich; postanowiły więc w jakikolwiek sposób złemu zaradzić. Zaraz nazajutrz, poleciwszy się opiece Boga i Najśw. Panny, wyszły szukać pułkownika rosyjskiego.

Skoro zjawiły się pod bramą domu, który zajmował, żołnierze szyldwachu salutowali je w postawie pełnej szacunku i wprowadzili bezpośrednio do pułkownika. Po grzecznem pozdrowieniu zapytał ich o cel przybycia. Z prostotą powiedziały mu, że są przy polskim ambulansie dla pielęgnowania rannych, że żywności dostarczają im okoliczni obywatele, że muszą w interesie chorych kilka razy z miasta wychodzić; nadto niektórych chorych gdzieindziej umieszczać, a tu tymczasem bramy miasta obecnie pozamykane; proszą więc, co mają teraz robić, jak sobie poradzić? Pułkownik odpowiedział na to z otwartością, która nie pozwoliła powątpiewać o szczerości jego słów: „Moje Siostry, bądźcie spokojne. Dla was wszystkie bramy stoją otworem, możecie chodzić same lub z waszemi rannymi gdzie tylko chcecie; wasz kornet niech będzie waszym paszportem. Nic innego nie mogę wam dać; nikt niema prawa zatrzymywać lub przeglądać wasze koszyki i worki. Żywność przeznaczona dla waszego ambulansu będzie zawsze odsyłana do miejsca swego przeznaczenia“. Ośmielone temi słowami zaczęły Siostry dalej nalegać, żeby poprzeć sprawę swych chorych: „Panie pułkowniku! ale pomiędzy rannymi jest wielu bardzo nieszczęśliwych, których czeka przykra operacya; jeżeli ujrzą nadchodzących żołnierzy, to poumierają pod wpływem wrażenia. — Uspokójcie się, kochane Siostry, my będziemy szanowali waszych chorych; starajcie się nadal całkiem spokojnie o nich i zapewnijcie ich, że się im nic złego nie stanie“. Siostry nawet wierzyć nie chciały, żeby im tak łatwo wszystko poszło; podziękowały za to Bogu z całego serca i prosiły Go o błogosławieństwo dla zacnego pułkownika.

Dwa lub trzy dni potem urządzono rewizyę w całem mieście z powodu dezertera, którego poszukiwano. Dwóch

oficerów przyszło do ambulansu i poprosiło o widzenie się z Siostrami: „Mamy obowiązek wejść do sali chorych i zwizytować cały dom, mając polecenie odszukania zbiega, ostrzeżcie o tem waszych chorych i uwiadomijcie ich o celu naszego przybycia, ażeby się naszem przyjściem nie przestraszyli; ażeby ich do reszty uspokoić, bądźcie na sali w czasie naszego tamże pobytu“.

Przetrząsnąwszy cały dwór wrócili oficerowie do Sióstr nie znalazłszy winowajcy i oświadczyli, że muszą jeszcze zwiedzić pokoje, które one same zajmują. Siostry zaprowadziły ich do refektarza, pokazały pokój rekreacyjny, skoro jednak otworzyły drzwi do małej sypialni, oficerowie cofnęli się dyskretnie, mówiąc: „Nie, kochane Siostry, my nie przekroczymy tego progu; wiemy o tem dobrze, że pokój ten objęty jest ścisłą klauzurą“. Po słowach tych cofnęli się w porządku, przepraszając, że swojem przybyciem tyle zamieszania w dom wprowadzili.

„Możecie chodzić same lub z waszemi rannymi, gdzie wam się podoba, nikt niema prawa was zatrzymywać“ były słowa poczciwego pułkownika. Temi słowy zachęcił w delikatny sposób Siostry, żeby wywiozły rannych, którzy odzyskali zupełną wolność. I w istocie, nie opuściły Poddębicy prędzej, póki ostatniego chorego nie umieściły w bezpiecznem miejscu.

Czyż to życzliwe dla Sióstr usposobienie pułkownika i schyzmatyckich oficerów nie zdradza szczególniejszej opieki Bożej nad pokornemi służebnicami rannych bohaterów?

Przechodzimy teraz do wojny rosyjsko-tureckiej, bo i tam wierne córki św. Wincentego nie mało położyły zasług. Sprawię się po krótce, bo rzecz ta była już po części przedstawiona w *Rocznikach* francuskich z r. 1879.

Skoro tylko wybuchła wojna, zaczęto w Warszawie organizować komitet ku niesieniu pomocy rannym. Na czele organizacyi, nazwanej Komitetem Czerwonego Krzyża, stanęła żona pułkownika z Królestwa Polskiego, hrabina Kotzebue, a do pomocy wzięła sobie t. zw. Siostry Czerwonego Krzyża,

schizmatyczki, które obowiązały się na czas trwania wojny opiekować się rannymi.

Siostry Miłosierdzia, zaraz od rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, krzątały się po wszystkich szpitalach, które odtąd zamieniły się w szpitale wojskowe. Szczęśliwe z tego, że mogą się dla rannych poświęcać, nie pragnęły dla siebie zbyt rozległego pola działania. Nieszczęśliwi żołnierze, chociaż w większej części schizmatycy, szanowali i kochali je jak własne matki. Wychowani w niezmiernej ciemnocie religijnej, nie widzieli żadnej różnicy pomiędzy schizmą a katolicyzmem; otwierało się więc dla Sióstr nowe pole działania; mogły one wywierać na nich wpływ moralny, dodawać otuchy w cierpieniach, słodzić przykrości, zaprawiać do myślenia o Bogu, jednem słowem, pół dzikich barbarzyńców zmieniać na ludzi uczciwych. Musiały jednak postępować z ostrożnością, krzyżyków ani medalików nie wolno im było dawać; tylko na rozdawanie obrazków dostały pozwolenie; a poczciwi wojacy prosili przedewszystkiem o takie, na których była przedstawiona i Siostra Miłosierdzia: „Oh! niech mi kochana Siostrzyczka da taki obrazek, mówił każdy gdy się Siostra zbliżała, abym mógł kiedy rodzinie mojej pokazać, jak wyglądają te dobre Siostry w białych kapeluszach, które mi życie uratowały i przynosiły ulgę w cierpieniach. Ah! kochana Siostro, gdyby nie twoja troskliwa opieka, już bym był świata Bożego nie oglądał! Niech ci Bóg to hojnie wynagrodzi“. Wdzięczność sama wyrywała im takie słowa z piersi, a łzy stwierdzały dostatecznie ich szczerość.

Ale działalność Sióstr nie ograniczała się tylko na Warszawę. Owszem, jak za czasów św. Wincentego, tak i teraz wyruszyły one aż na samo pole bitwy i to do Turcyi; godne zaiste swych zacnych poprzedniczek, które na takie pochwały z ust Świętego Założyciela zasłużyły.

Naczelnicy Komitetu Czerwonego Krzyża postanowili prosić Wizytatorkę o Siostry Miłosierdzia do pielęgnowania rannych w wagonach sanitarnych. Nastręczały się wprawdzie trudności w tym względzie, na które jednak Wizytatorka nie

wiele zważała; chodziło przecież o ratowanie chorych, o wyrywanie djabłu umierających, a wobec takich korzyści, wszelkie inne względy traciły na wartości. Siostry Miłosierdzia z jednej strony, a Siostry schizmatyckie Czerwonego Krzyża z drugiej miały pracować oddzielnie; jedna partya nie wchodziła w sferę kompetencyi drugiej partyi, znikła więc obawa konfliktu; już więc 20 września 1877 r. Siostry Miłosierdzia wyjechały z Warszawy w wagonach sanitarnych.

Słówko jeszcze o lokalu, który Siostry prawie przez cały rok zajmowały. Wagon dany im do dyspozycyi, służył im z początku za dormitarz; miał 5 łóżek zawieszonych jedno nad drugiem, mniej więcej jak w kajutach okrętowych; później zrobiono z tego wagonu pokój wspólny; służył więc i za oratoryum i za salkę rekreacyjną. Z boku w przegródce była apteczka, Siostrom powierzona. Wagon ten połączony był z innymi wagonami, w których leżeli chorzy (w każdym wagonie było ośm łóżek), w ten sposób, że Siostry bez schodzenia na dół bezpośrednio mogły przechodzić cały pociąg; urządzenie było bardzo praktyczne i mądre, bo ułatwiało niezmiernie pracę, zwłaszcza w nocy.

Na drugim końcu wagonu mieścił się pokoik kapelana szpitala. Miał w nim ołtarz przenośny i wszystko, co potrzebne do sprawowania mszy św. i administrowania Sakramentów św. Była to dla Sióstr niezmierna pociecha, że mogły Mszy św. wysłuchać i do Stołu Pańskiego przystępować. Dalej były pokoiki dla lekarzy, dla pomocników chirurgicznych, dla infirmarzy; była też sala jadalna, kuchnia, spiżarnia i pokój dla 5 Sióstr Czerwonego Krzyża kończył pociąg.

W tym towarzystwie wyjechały Siostry Miłosierdzia z Warszawy; celem drogi były Jassy w Mołdawii; tam miały szukać rannych żołnierzy. Trudno opisać radość żołnierzy na widok białych kornetów. Niektórzy zachowali pamięć tychże jeszcze z wojny krymskiej, to też zachowali głęboką wdzięczność za macierzyńską opiekę; drudzy słyszeli o nich z opowiadania, a wszyscy łączyli się w przekonaniu, że im aniołów

Bóg zesłał na pociechę w troskach i niedoli tej wojny; nie mniej dobrej woli okazywali wszyscy wyżsi oficerowie.

Pracy było w Jassach odrazu dosyć. Zaraz po przyjeździe 264 rannych oddano im w opiekę, odwiozły ich do Moskwy, na to żeby znów do Jass powrócić i 300 rannych przewieść do Charkowa. W ten sposób pracowały przez jedenaście miesięcy, przeszło 20 razy towarzysząc rannym przy transportowaniu ich w głąb Rosyi. Przebyły w tych dziwnych podróżach prawie całe ogromne cesarstwo rosyjskie, narażone na częste zmiany klimatu. Osoby silnego zdrowia i mniej spracowane od Sióstr Miłosierdzia podlegały chorobom, nie mogąc znieść tylu nagłych a silnych zmian temperatury, a jednak Siostry o ciele mdłem ale duchu tęgim, podtrzymywane miłością Boga i ludzi, nie odnosiły żadnego szwanku na zdrowiu. Opatrzność Boża, która im tak szczytne powierzyła zadanie, opiekowała się niemi w sposób najwidoczniejszy. Zdarzały się przecież różne katastrofy kolejowe, ale one zawsze wyszły cało, ażeby dalej rozsiewać hojną ręką dobrodziejstwa i umocnić się w dziecięcej ufności ku Bogu.

Trudno określić, jaki był w ostateczności rezultat wszystkich tych trosk, starań i poświęceń Sióstr w służbie rannych, w których liczbie znajdowała się tylko garstka katolików, *Deus scit, ego nescio*. Jest to sekret Boga. Lecz słowa naszego św. Założyciela, wypowiedziane w konferencyi z dnia 9 czerwca, pozwalają nam odchylić rąbek tajemnicy: „...Przedewszystkiem, moje kochane Siostry, nie mówcie nigdy: „Nie posyłaj nas nigdy między żołnierzy“. Bo ja wam na to odpowiem to, co sam doświadczyłem, że staranie się o tych biedaków jest wielkim dowodem łaski ze strony Boga, oni patrząc na to i rozmyślając nad tem, że wy idziecie między nich nie z innej pobudki, jak tylko z czystej miłości Boga, mówią, że widzą, iż Bóg jest opiekunem nieszczęśliwych. Otóż widzicie więc, kochane Siostry, ile dobrego robicie, skoro żołnierzom pomagacie poznawać dobroć Boga, który wam im usługi oddawać pozwala“. Miałyśmy same sposobność stwierdzić na biednych

żołnierzach schizmatyckich prawdziwość słów św. Wincentego; słowa św. Założyciela urzeczywistniają się zawsze i wszędzie.

W dowód uznania zasług położonych około pielęgnowania chorych w ambulansach i wagonach sanitarnych, Komitet Czerwonego Krzyża przesłał na ręce przełożonej warszawskiego domu centralnego Sióstr Miłosierdzia wspaniałą puszkę z wyrytym napisem „Miłosierni miłosierdzia dostąpią“, wraz z zaszczytnem uznaniem, złożonem przez prezydentową Czerwonego Krzyża w tych słowach: „Świat cały jest wami zbudowany; wasze poświęcenie, wasz duch zaparcia połączony z zupełnem zapomnieniem o sobie samych, wprowadza wszystkich w zdumienie; poznano, że wasz habit zakonny i imię, jakiem się szczycicie, nie są tylko czczemi formami, bo wyście prawdziwe Siostry Miłosierdzia. Są i inne osoby, które również roszczą sobie pretensye do tytułu waszego, ale oprócz habitu nic z wami wspólnego nie mają“. Te słowa z ust protestantki wypowiedziane w chwili przysłania puszki, mającej służyć za schronienie P. Jezusowi, są pięknem *homagium,* złożonem pośrednio Kościołowi katolickiemu, owemu źródłu, z którego Siostry Miłosierdzia czerpią swoją moc i siłę ducha.

Neofici żydowscy u św. Krzyża w Warszawie.

Na półkach księgarskich pojawiło się świeżo dzieło p. t. „Neofici Polscy“; autor, Jeske-Choiński, zadał sobie olbrzymią pracę i sam powiada, że zbadał kilka milionów metryk w kancelaryach kościelnych miasta Warszawy w przeciągu czterech lat, chcąc sprawdzić daty podawane w dziele Kraushara, p. t. „Frank i Frankiści polscy“. Wśród poszukiwań zboczył od swej pracy i obok Frankistów wypisywał wszystkich neofitów, którzy z żydów tak licznych w Polsce przechodzili na chrześcijaństwo, zlewając się z naszem społeczeństwem. Najpierw przeszukiwał kancelaryę kościelną u św. Krzyża w Warszawie i sam powiada: „Rezultat był nadspodziewany, w samym św. Krzyżu wykopałem z pyłów i kurzów pożółkłych ksiąg blisko 100 żydów, ochrzczonych w XVIII. wieku“. Z XVII. wieku w księgach kościelnych u św. Krzyża spotykamy tylko sześć nazwisk żydowskich, obok tego chrzciło się w tym kościele w XVI. wieku 12 żydów i 6 żydówek. Za rodziców chrzestnych służył w trzech wypadkach sam król Jan Kazimierz, w innych wybitniejsza szlachta lub urzędnicy nadworni.

Księża chrzcząc neofitów nie zadawali sobie zbyt wielkich trudów z wyszukaniem dla nich nazwiska; jedne nadawali od miejscowości skąd neofita przybywał, stąd są Łęczyccy, Lublińscy, Łowiccy i t. d., inne od dnia chrztu, np. Niedzielski, Niedzielicki, od niedzieli, a gdy neofita był przybłędą, to obdarzano go nazwą Przybyłowicz, Przybylski lub Przybyłowski, Krzyżanowskich od kościoła św. Krzyża spotykamy wśród konwertytów 17 i 18 w. aż ośmiu. Lecz w końcu, powiada autor „jednemu z misyonarzy warszawskich zabrakło już konceptu i ochrzczonego przez siebie żyda nazwał Oktobarem

od miesiąca chrztu października; innego ochrzczonego w czerwcu od łacińskiego *Junius*, nazwał Juneckim, a trzeciego w kwietniu od *Aprilis*, Aprilewiczem". Do roku 1850 księgi kościelne u św. Krzyża ciągle jeszcze notują bardzo wpływowe osobistości jako rodziców chrzestnych; figuruje tam kilka razy król Stanisław August Poniatowski, potem książę Poniatowski i inni możni panowie, nawet książę Paszkiewicz kilkakrotnie jest zaznaczony jako ojciec chrzestny, sam albo przez zastępcę, co zwłaszcza królowie robili. Tak uspołeczniało się wielu żydów, a niejeden z nich z błota proletaryatu przez protekcyę wypływał na jasne wody dobrobytu.

Cenne to przyczynki do działalności XX. Misyonarzy u św. Krzyża w Warszawie uzupełnia dzieło Kraushara p. t. „Frank i Frankiści polscy". Z tego dzieła okazuje się, że w naszym domu centralnym w dawnej Polsce, była bardzo żarliwa propaganda wśród żydów skłaniających się do katolicyzmu i epilog Frankizmu, t. j. proces i zasądzenie na twierdzę samego Franka odbyły się u św. Krzyża, przy współudziale kilku XX. Misyonarzy.

Cały ruch Frankizmu wśród żydów wszczął żyd Jakób, syn Leiby z Korolówki na Podolu. Podróżując po Wschodzie, gdzie go Turcy nazwali Frankiem (którą to nazwę już na całe zatrzymał życie), miał sposobność słyszeć o niedawno zmarłym pseudomesyaszu Sabbataju ze Smyrny, który oszukując żydów, żył sobie wygodnie, po królewsku. Tej roli postanowił się chwycić Frank i wśród ciemnych, nieoświeconych żydów polskich odegrał ją po mistrzowsku. W 1755 r. wraca do Polski, udaje proroka i mesyasza, choć stanowczo się nigdy nie odsłania. Wnet zjednał sobie wielu towarzyszy działając po miastach Podola, między innemi i w Jezierzanach, lecz prześladowany przez talmudystów dostał się do więzienia razem z całą kompanią. Wtedy robiąc nadzieję przyjęcia chrztu, zwrócił się do Dembowskiego, biskupa Kamieńca Podolskiego i za jego wstawieniem wyszedł z więzienia. Skoro jednak biskup Dembowski, jego protektor umarł, Frank, znowu przez talmudystów strasznie prześladowany uszedł na Wo-

łoszczyznę i tu przyjął islam. Równocześnie wysłał listy do Warszawy do króla Augusta III. i za przyczyną duchowieństwa uzyskuje dekret w 1758. roku pozwalający mu na powrót do kraju. Z tryumfem wraca teraz Frank wraz z kompanią swych zwolenników do Polski; najpierw przybywa do Lwowa i tu przyjmują chrzest z wody tak Frank jak i jego towarzysze; ceremonii chrztu postanowili dopełnić w stolicy w Warszawie. Nękani i prześladowani po drodze przez talmudystów przybyli w 1759 r. do Warszawy. Frank z dwoma najwybitniejszymi swymi zwolennikami przyjął chrzest z ceremoniami w kaplicy królewskiej 28. listopada 1759. roku. Wszyscy inni Frankiści chrzcili się u XX. Misyonarzy w kościele św. Krzyża. *Liber baptisatorum* podaje ich chrzest w latach 1759 i 1760. Nauczaniem i przygotowaniem neofitów zajęli się dwaj Misyonarze: X. Burchocki i X. Andrzej Ormiański. Że ufali nawróconym najzupełniej, to świadczy o tem fakt, że jednego z konwertytów, mianowicie nawróconego rabina Herszele, totumfackiego Franka, gdy umarł, pogrzebali na swym cmentarzu obok kościoła. Pomimo chrztu, Frank i jego kompania zamknęła się teraz w sobie, oddzielając się ściśle od chrześcijan; sam mistrz dopełniał jakichś potajemnych ceremonii, a gromada jego śpiewała przytem niezrozumiałe pieśni. Często wchodzili popołudniu do kościoła św. Krzyża; Frank sam klęknąwszy przed wielkim ołtarzem śpiewał jakąś pieśń: *Signor mostro,* to znowu *Iguleh* lub *Baruch jo,* a ludzie towarzyszący mu, płacząc powtarzali za nim te pieśni. Te mistyfikacye Franka i pokątne schadzki jego gromady sprowadziły w końcu na niego i jego zwolenników zasłużoną karę. Uwięziono go; zrazu trzymano go u OO. Bernardynów, potem na Bielanach u OO Kamedułów, w końcu 26. stycznia 1760. r. przeprowadzono go do XX. Misyonarzy u św. Krzyża, gdzie nad nim i jego zwolennikami miał się odbyć sąd kościelny. W gronie sędziów zasiadał i X. Śliwicki, ówczesny wizytator Zgromadzenia naszego w Polsce. Frankowi zarzucano udawanie mesyasza, tajne jakieś i niedozwolone obrzędy, a nawet poligamię. Zwłaszcza X. wizytator Śliwicki, wybadawszy poprzednio jego

stronników, przypierał Franka do muru; zarzucał mu, że uczniowie jego mieli go za mesyasza, a on upodobał sobie w tej roli; otoczony nimi zasiadał na krześle, paląc tytoń i popijając czarną kawę, podczas gdy uczniowie stojąc i kłaniając się mu śpiewali z płaczem nabożne pieśni, zwłaszcza pieśń *Juguleh*, wzywając go jako przytomnego, tylko jeszcze utajonego mesyasza i wołając nań: „Pokaż honor królestwa twego, króluj nad królmi i t. d.“ Dalej zarzucał mu X. Śliwicki, że podobno jakieś światło miało się nad nim ukazywać, co on uważał za znak mesyasza. Tego jednak zaparł się Frank; intrygant i oszust, uporczywie wypierał się wszystkiego, domagając się dla siebie i swej gromady jedynie oddzielnej dzielnicy w Rzeczypospolitej, gdzieby ze swoimi mógł spokojnie mieszkać.

Sąd ostatecznie skończył się na tem, powiada Kraushar, „że uczniowie Franka, wysłuchawszy zeznań swego mistrza głośno odczytanych, zmonitowani zostali przez proboszcza św. Krzyża, X. Śliwickiego, aby wszelkim baśniom o widzeniach Franka i stosunkach jego z prorokiem Eliaszem nie wierzyli, aby go nadal jako oszusta o oszustwo przekonanego uważali, aby z miłością i szczerością do przyjętej wiary katolickiej się wrócili i stali się wiernymi synami Kościoła“. — A dalej czytamy: „Co gdy uczniowie jego uczynić przyrzekli, zachęcono ich do lepszego zgłębienia katechizmu i tym celem ustanowiono dla nich rekolekcye u św. Krzyża, poczem wszyscy do domów swoich powrócili“. *Kuryer Polski* z r. 1760 pisze o tych rekolekcyach: „Wszyscy ci neofitowie sakrament Bierzmowania przez X. Rieaucour, biskupa Ptolemaidy, przyjęli; dawniej zaś ochrzczeni, wprzód do spowiedzi i komunii św. nabożnie przystępowali“.

Zapatrywania Sulimy, autora dzieła: „Historya Franka i Frankistów“, dotyczące procesu są całkiem mylne i stronnicze. Mówiąc o procesie kościelnym nad Frankiem porównuje jego surowość z inkwizycyą, obwiniając zwłaszcza Braci Mniejszych t. j. OO. Bernardynów, u których przez pewien czas był więziony Frank, że nie szczędzili mu kar cielesnych i róż-

nych szykan. Na to jednak niema żadnego dowodu, krom powołania się na źródła polskich talmudystów pragnących cały ten prąd asymilacyi żydów powstrzymać, a stąd często stronniczych, i na kazanie X. Awedyka ze Lwowa, gdzie w ogólnych słowach wyraża się kaznodzieja, że neofici nawet już po nawróceniu wycierpieli bardzo wiele w Warszawie, lecz sam nie zna bliżej ani procesu, ani jego przebiegu i nie wie, że Franka przeniesiono do XX. Misyonarzy i że tam się odbył właściwy proces. Tak domysł X. Awedyka rozszerzył jeszcze więcej Sulima, domyślając się inkwizycyi, tortur i wielu innych rzeczy, które u nas w Polsce wyszły już w tym czasie z użycia. To zapatrywanie fałszywe surowości tego sądu dochodzi do szczytu u Graetza, profesora historyi żydowskiej na uniwersytecie we Wrocławiu, w dziele p. t. *Volkstümliche Geschichte der Juden,* gdzie ostatecznie orzeka autor, że Franka nawet stos nie byłby ominął, gdyby nie ta okoliczność, że króla Augusta III. miał za chrzestnego ojca. Nam jednak za stanowczy punkt wyjścia służy dzieło powyższe tak poważnego i gruntownego historyka, jakim jest Kraushar, który całą sprawę Franka i Frankistów wyczerpująco traktuje w swem dwutomowem dziele i nic nie wie ani nie wspomina o żadnem znęcaniu się nad Frankiem u OO. Bernardynów, a tem mniej u XX. Misyonarzy.

Franka skazano na dożywotnie więzienie do twierdzy Częstochowskiej; uzyskawszy wolność wskutek kapitulacyi Puławskiego w r. 1772 ustąpił do Niemiec i tu w Offenbachu przy Frankfurcie na Menem udając do ostatniej chwili mesyasza umarł w 1791 r.

Ruch przezeń wszczęty, Frankizmem nazwany, trwał dalej aż do 1816. roku, kierowany przez córkę jego Ewę i zaraz w swych początkach dał Kościołowi 514 neofitów, później liczba ich doszła do jednego tysiąca. Spójnia kompanii Franka rozluźniła się dopiero około 1850 r. i wtedy wpłynęli dopiero w społeczeństwo polskie.

Żydzi nawracający się w czasach Rzeczypospolitej przechodzili na katolicyzm wyłącznie, tylko jedyna rodzina Wolf'ów,

przodkowie dzisiejszych księgarzy, przyjęła protestantyzm. Za to w XIX. w. żydzi w mniejszej ilości przyjmują katolicyzm, a garną się więcej do protestantyzmu i kalwinizmu, jako więcej zgodnych i ich liberalnem pojęciem wiary i jej obowiązków i tak zasilają topniejące resztki heretyków polskich. Już z Prusakami napłynęło wielu niemieckich żydów, zwolenników Mendelssohna do Warszawy, i ci, gardząc brudnym i nieoświeconym hałacianym tłumem żydowskim, założyli sobie odrębną synagogę t. zw. niemiecką, o bardzo liberalnych poglądach na stary zakon z cywilizacyą niemiecką. Wtedy i polscy żydzi pod przewodnictwem Nusbauma, Kramsztyka i Rotwanda, rzucając stare poglądy talmudystyczne, założyli synagogę t. zw. polską, i liberalizm zapanował wtedy i wśród tych, wiekami skostniałych i zamkniętych w sobie, ludzi. Po tym wygodnym pomoście i inteligencya żydowska zaczyna od 1885 r. coraz więcej przechodzić na chrześcijaństwo.

X. Jan Rzymełka.

KRONIKA.

Kraków. — Kleparz. W ubiegłym kwartale znowu odbywały się rekolekcye ludowe dla rozmaitych stanów. Seryj było trzy. Pobożni z odległych nawet stron na nie przychodzili. Konfrater naszego Domu, X. Dihm, dawał w tym czasie rekolekcye Siostrom we Lwowie.

Ogółem w czasie Wielkiego Postu odprawili księża z Kleparza: 6 rekolekcyj w różnych szkołach, 6 rekolekcyj dla zakonników, zakonnic i kleryków, 4 rekolekcye dla ubogich po różnych zakładach, 3 rekolekcye po szpitalach i w zakładzie karnym i 5 misyj ludowych po parafiach dyecezyi krakowskiej i tarnowskiej.

Stradom. Swięcenia wyższe subdyakonatu 18 marca b. r. i dyakonatu 8 kwietnia otrzymali następujący klerycy naszego Seminaryum: Leńko Józef, Gintrowski Hieronim, Krauze Józef, Mierzejewski Władysław, Rybka Ludwik, Pisarek Piotr, Sosnowski Jan, Jaworek Jan, Wochowski Henryk, Słupina Józef, Wroński Maksymilian, Ferdyn Konstanty, Witaszek Konstanty, Michalski Karol i Dejewski Feliks.

Święcenia mniejsze: Stawianowski Stefan, Grabowski Stanisław, Marzotko Mateusz, Halama Alojzy, Wróbel Jan, Żdziebło Franciszek, Skrzydelski Antoni, Paszyna Jan, Komander Franciszek i Pawłowski Ignacy.

Lwów. — M a ł e S e m i n a r y u m a r c y b i s k u p i e.

Sprawozdanie z pracy księży Zgrom. Misyi przy Małem Seminaryum we Lwowie za r. 1904.

Uwzględniając życzenie Przewielebnego X. Wizytatora, przedkładam krótkie sprawozdanie z naszej pracy w ubiegłym roku. Ograniczam się jednakże tylko do prac naszych pozaobowiązkowych, bo prace nasze zwyczajne są monotonne,

a koncentrują się około wychowania młodzieży kierownictwu naszemu powierzonej, czy to w Małem Seminaryum, czy to częściowo przez prowadzenie duchowne alumnów Wielkiego Seminaryum.

Po wyjeździe X. Stanisława Koniecznego do Ameryki północnej na stanowisko superyora nowego Domu tam mającego się założyć, objął od września po nim obowiązki X. Józef Janowski tak w zakładzie, jako też i w gimnazyum w charakterze katechety, gdzie tygodniowo ma 22 godziny a nadto egzorty w niedziele i święta.

Uproszeni udzielaliśmy w tym roku szereg rekolekcyj i tak: X. Bystrzonowski Felicyan dawał 5 dni rekolekcye dla OO. Franciszkanów, następnie w marcu dawał rekolekcye uczniom szkoły realnej we Lwowie, w lipcu przewodniczył też ćwiczeniom duchownym dla Sióstr Miłosierdzia w Krakowie, a w sierpniu dla księży katechetów również w Krakowie. Ja w tym roku udzielałem rekolekcyj podczas Postu Wielkiego nasamprzód w zakładzie im. Kilińskich, potem dla Sióstr Miłosierdzia i wreszcie dla pań przeważnie z Towarzystwa PP. Ekonomek.

Konferencyj do Sióstr Miłosierdzia oddzielnie wygłosiliśmy 30, przemów do różnych Stowarzyszeń 25, kazań okolicznościowych 40; wszystkich w ciągu roku nauk pozaobowiązkowych wygłosili konfratrzy tego Domu 155.

Spieszyliśmy też chętnie, gdzie było można, z pomocą w spowiedzi. Stale spowiadaliśmy w niektórych Domach Sióstr Miłosierdzia, a nadzwyczajnie we wszystkich Domach Sióstr miejscowych i niektórych na prowincyi. Również stale spowiadamy alumnów Seminaryum Kleryków, księża zaś prefekci pomagają w spowiadaniu szkół przy wszystkich okresowych spowiedziach.

X. Bystrzonowski katechizuje stale w szkole dla sług w niedziele i święta.

Lwów, dnia 29 grudnia 1904 r.

X. J. Gaworzewski
rektor.

Turka. W szpitalu tutejszym zdarzył się prawdziwie cudowny wypadek. Donosi S. Wiśniewska, przełożona SS. Miłosierdzia, że niejaki Piotr Drozdowski, ciężko był chory na tyfus plamisty. Lekarz szpitala osądził, że po ludzku mówiąc, nie może być żadnej nadziei wyzdrowienia.

Gdy jednak chorego ofiarowano opiece Najśw. Panny od Cudownego Medala i medalik mu włożono, chory wkrótce zupełnie wyzdrowiał.

Oby ten nowy wypadek ożywił jeszcze więcej ufność naszą do Najśw. Panny, skłonił do coraz większego rozszerzania Medalika Cudownego i do zapisywania podobnych łask cudownych.

Dziennik Poznański w połowie miesiąca stycznia 1904 r. podaje następujące wiadomości, odnoszące się do Zakładu śp. X. Siemaszki:

„Więcej znany — niż Zakład wychowawczy X. kanonika Markiewicza w Miejscu Piastowem — jest Zakład śp. X. K. Siemaszki w Krakowie, misyonarza krakowskiego, pochodzącego ze Żmujdzi. Zakład ten liczy 70 chłopców, z których 16 uczęszcza do gimnazyum, 41 do szkół normalnych, a 13 jest umieszczonych w nauce u rozmaitych majstrów rękodzielniczych.

Zarząd objął obecnie Wielkopolanin z pod Ostrowa X. Sylwester Binek ze Zgromadzenia XX. Misyonarzy. Stan jednak finansowy Zakładu jest tak zagrożony, że nowy przełożony zaapelować musiał do ofiarności publicznej, chcąc ratować egzystencyę tak ważnej dla społeczeństwa instytucyi, wychowującej z włóczęgów i zaniedbanych dzieci, pożytecznych i dzielnych obywateli dla kraju. Aby jednak uwolnić kraj od młodocianych kryminalistów, na to potrzeba gruntownej reformy ustawodawstwa w kierunku ochrony tej młodzieży przed zepsuciem obyczajowem i demoralizacyą antyreligijną i potrzeba powtóre akcyi na szeroką skalę rozwiniętej w celu zakładania instytucyi wychowawczych, gdzieby zaniedbane dzieci i źle wychowani młodzieńcy mogli się wychować na porządnych ludzi i dobrych obywateli“.

Polski misyonarz w Paranie. Listy X. Dylli umieszczane w *Rocznikach* w przeciągu jednego roku, zdobyły sobie mimowoli rozgłos, czego dowodem następujący ustęp z *Dziennika Poznańskiego* Nr. 23 z dnia 28 stycznia 1905:

„W ostatnim tomie *Roczników*, wydanych przez XX. Misyonarzy w Krakowie, znajdujemy bardzo zajmujące listy X. Dyli z polskich kolonii parańskich. Parana wielkością równa się niemal Włochom, lecz gdy te liczą 32 milionów mieszkańców — stan brazylijski Parana ma ich tylko 310.000. W tej liczbie znajduje się 120.000 obcokrajowców, których większość stanowią Polacy, jest ich bowiem w Paranie 70.000. X. Dylla daje barwny obraz kraju, przedstawia kolejno jego faunę, florę, nie wyzyskane bogactwa mineralne, klimat bardzo zdrowy, obfitość płodów, wreszcie swobodę działania. Parana jest krajem wyłącznie rolniczym, w miarę nagromadzenia kapitału jednak powstanie w niej w krótce zapewne i przemysł. Polskich kolonistów, jak twierdzi X. Dylla, znamionuje niezwykła pracowitość, pobożność i tęsknota za krajem; cechy te wyróżniają ich korzystnie od Brazylian. Działalność misyonarska ma dla wychodźców ogromne znaczenie; utrzymują ich na pewnym moralnym i duchowym poziomie, a także stanowią pewien związek z daleką Ojczyzną“.

Parana. *Gazeta Polska* w Brazylii podaje następujące szczegóły o misyach naszych konfratrów po osadach Parany:

„S. Barbara w grudniu 1904.

Choć trochę późno, ale opisać muszę misye u nas. Za staraniem Przew. X. Wróbla zjechał do nas X. Dylla, misyonarz. Już tej pracy nie opiszę bom nie w stanie, ale to muszę powiedzieć, że podczas nauk przepięknych, nikt nie mógł się od łez powstrzymać. Wszystko co mówił X. Dylla wpadało wprost do serca. Kościół nasz ciągle był pełny. X. Misyonarz tak pięknie opowiedział smutne następstwa pijaństwa i tak potrafił ten piekielny trunek obrzydzić, że wszyscy — jak jeden, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi zaprzysięgli, iż odtąd gorzały pić nie będą. Na pamiątkę X. Misyonarz

poświęcił nam krzyż misyjny. Od nas wyjechali obaj kapłani na Kantagallo, serdecznie przez wszystkich żegnani. Została nam po tej misyi nie jedna pamiątka — wyrzeczenie się gorzały, krzyż, pogodzone rodziny co od dawna w zwadzie żyły. Niech Bóg wynagrodzi tym kapłanom ich pracę i dobry posiew, mówili wszyscy.

Parana. Koloniści z Abranszes, widząc błogie skutki pracy Sióstr Miłosierdzia z prowincyi Chełmińskiej, napisali z podziękowaniem list następujący:

„Najprzewielebniejszy Księże Wizytatorze!

Nie umiemy znaleść słów, któreby mogły odmalować dokładnie wdzięczność naszą za życzliwość i pomoc, okazane nam w wysłaniu Sióstr Miłosierdzia do Abranszes.

Przybyły tu wszystkie trzy w dobrem zdrowiu dnia 17. października, a już przeszło od dwóch miesięcy uczą dzieci, których liczba po żniwach dojdzie może do setki. Dobre, pracowite i wyrozumiałe podobały się wszystkim i zdaje się, że i same są zadowolone. Dziękując przeto raz jeszcze Przewielebnemu O. Dobrodziejowi, zostajemy z głęboką wdzięcznością i poważaniem

L. Bielecki, redaktor „Gazety Polskiej“ w Brazylii, *St. Witosławski, X. Leon Niebieszczański, Józef Bajęrski, Józef Preiss, Wawrzyniec Szczepański, Józef Brzeziński, Karol Triloff, Hipolit Kowalski.*

Parana. Z listu, przesłanego Przewielebnemu X. Wizytatorowi z okazyi Jego Imienin przez Siostry Miłosierdzia z Abranszes w Paranie, podajemy następujący wyjątek:

„Już blizko cztery miesiące, jak przybyłyśmy do naszej siedziby, przyzwyczaiłyśmy się nieco do nowej ojczyzny, a przy ciągłem zajęciu czas szybko nam upływa. Święta Bożego Narodzenia szczęśliwie i wesoło przepędziłyśmy. Jakieś rzewne uczucie ogarniało duszę, gdyśmy podczas północnej pasterki po raz pierwszy w tak dalekim kraju połączyły się z Najdroższym Zbawicielem. Przyszły na myśl lata ubiegłe, w któ-

rych zwykle w licznem gronie ukochanych Towarzyszek przyjmowałyśmy Boską Dziecinę do swego serca. W tym roku przestrzeń niezmierna dzieli nas od Swoich, lecz zato zdawało się, jakoby Pan Jezus więcej do nas się zbliżył, napełniając dusze nasze błogiem szczęściem i pokojem. Kościół, i w świeże przybrany kwiaty, śliczny przedstawiał widok, lud szczelnie świątynię zapełnił, te same co i u nas śpiewając kolędy.

W grudniu największe tutaj upały, nie chce się wierzyć, że to Boże Narodzenie. W dniu Nowego Roku przedstawiały dzieci szkolne pokłon pastuszków przy żłóbku. Miało to być wyłącznie dla dzieci, ponieważ to początek, nie wiedziałyśmy zatem czy się uda, tymczasem ludu zebrało się mnóstwo, wszyscy pragnęli oglądać owe dziwy, o których wielu żadnego nawet nie miało pojęcia. Dzieci odegrały swe role dość dobrze, po przedstawieniu złożyło dwoje aniołków życzenia noworoczne Czcigodnemu X. Proboszczowi, który nas także swą obecnością zaszczycił. Wzruszony. serdecznie podziękował, wykazując zarazem zebranemu ludowi błogie skutki katolickiej szkoły, i zachęcając, by wszyscy przysyłali swe dzieci. O wiele się też liczba takowych zwiększyła, mamy obecnie 114 uczni, nie licząc starszych dziewcząt, biorących lekcye robót ręcznych, oraz początkową naukę czytania i pisania. Dzieci, jak już wspomniałam, bardzo zacofane, niektóre 12- i 14-letnie ani pacierza, ani jednej litery nie znają, przytem po części w lasach mieszkające, mają umysł bardzo nierozwinięty, i dłuższego trzeba będzie czasu, zanim się w ich zakutych główkach nieco rozjaśni. Nie tracimy przecież odwagi, owszem szczęśliwe jesteśmy, że nam Bóg pozwolił wpośród prostego tego ludu dla Swej Chwały i ich dobra pracować.

Utrzymanie nasze zapewnione w ten sposób, że Komitet pobiera co miesiąc od kolonistów płacę za naukę, wręczając nam następnie zebraną sumę. Wielu uiszcza się z należytości, przynosząc nam różne artykuły spożywcze, tak że oprócz niektórych drobnostek nic nie kupujemy. Obecnie pora najgorętsza, lato; słońce żarem sypie na ziemię, szczęście.

że dość częste, czasem kilka dni trwające deszcze, łagodzą nieco upały. Drzewa cały rok zielone, teraz czas dojrzewania owoców; zeszły miesiąc nazwaćby można brzoskwiniowym, codziennie przynosiły nam dzieci całe koszyki ślicznych brzoskwiń, cokolwiek się różnią od naszych, lecz soczyste i dobre; w tym miesiącu dojrzewają winogrona, których szczególniej Włosi dużo chodują. Jest jeszcze wiele innych owoców, lecz wszystkie jakieś dziwne, coś z rodzaju śliwek lub wiśni nie bardzo nam smakują, są także figi i pomarańcze, dojrzewające później.

My także mamy dość duży kawał roli, powoli zaczynamy go uprawiać, posadziłyśmy już nieco jarzyn i kwiatów. Dom ukończony zupełnie, poświęcony opiece św. Józefa, którego piękna figura umieszczoną zostanie nad głównemi drzwiami. Wprowadziłyśmy się w pierwszych dniach listopada. Mieszkanie dosyć obszerne, 2 klasy mieszczą około 120 dzieci, dla nas również dwa wielkie pokoje, jeden przeznaczony na dormitarz, drugi drewnianą przedzielony ścianą, służy nam w jednej połowie za refektarz, w drugiej urządziłyśmy rodzaj rozmownicy; są jeszcze dwa pokoje na górze, które w razie potrzeby można urządzić, kuchnia w suterenach. Od strony podwórza ładna weranda, z której śliczny rozciąga się widok, szczególniej wieczorem, gdy słońce zachodzi, przecudnie harmonizują z sobą: świeża zawsze zieleń drzew i krzewów a po nad tem to prawdziwie piękne, wspaniałe niebo Brazylijskie. Kościół, jak już Najczcigodniejszemu Ojcu wspomniałam, mamy tuż przy szkole, tak że jesteśmy w szczęśliwem położeniu, iż ćwiczenia nasze po części przed Najśw. Sakramentem odprawiać możemy. Spowiednikiem naszym jest Czc. X. Proboszcz, dla spowiedzi nadzwyczajnej przyjeżdża Czc. X. Superyor z Tomas Koelho, odległego przeszło trzy godziny od naszej kolonii. Widziałyśmy się również z X. Dyllą z Luceny, mieszka o trzy dni drogi. W pierwszych dniach pobytu złożyłyśmy swe uszanowanie Jego Ekscelencyi X. Biskupowi w Kurytybie. Przyjął nas bardzo życzliwie, mówiąc, że w razie jakiejś potrzeby mamy zapewnioną Jego pomoc i opiekę. Po Wielkiejnocy ma

zamiar wizytować dyecezyę, przy tej sposobności i naszą szkołę Swą obecnością zaszczyci. Ponieważ X. Biskup mówi tylko po portugalsku i nieco po francusku, uczymy się języka krajowego, by sobie chociaż kilka zdań przyswoić, bo i dzieci trzeba jakiego wierszyka na przyjęcie Najprzewielebniejszego X. Biskupa po portugalsku nauczyć. Dotychczas nie wielkie zrobiłyśmy postępy, ponieważ niema czasu, by się do porządnej zabrać nauki.

Za krajem nie bardzo tęsknimy, przekonanemi będąc, że Bóg sam w tak dalekie powołał nas strony, zawsze szczęśliwe i zadowolone jesteśmy. Zdrowie, z łaski Najwyższego doskonale nam służy, prawie wcale nie odczułyśmy zmiany klimatu.

Zapewniając o miłości i uległości, jestem w miłości Najświętszych Serc Jezusa i Maryi Niepokalanej Najczcigodniejszy Ojcze najpokornieszą i najposłuszniejszą córką

S. Olsztyńska
u. C. M. sł. u. M.

Ojciec św. Pius X., raczył na prośby O. Generała odnowić dawne przywileje, 1) mocą których możemy w Domach SS. Miłosierdzia urządzać oratorya prywatne dla Sióstr chorych i odprawiać w nich Msze święte i dawać Komunie. Nie wolno jednak tam przechowywać Najśw. Sakramentu.

Na lat siedm.

2) Odpust zupełny na dzień, w którym obchodzi się uroczystość Medalika Cudownego.

Na lat dziesięć.

3) Nowym zaś przywilejem jest, że możemy w kościołach naszych i Sióstr przenieść uroczystość Medalika Cudownego na dzień następny, jeżeli w ten dzień 27-go listopada przypada przeszkoda, jak np. pierwsza niedziela Adwentu.

Toż samo, gdy chodzi o uroczystość Przeniesienia Relikwij św. Wincentego.

Ś. p. X. Stella.

Dnia 7 października 1904 umarł w Domu macierzystym w Paryżu b. Asystent O. Generała.

Urodził się on 6 października 1815 w Neapolu. Przyjęty do Zgromadzenia 7 maja 1846. Zmarł więc w 89 roku życia a 58 powołania. Był przez pewien czas profesorem w Seminaryum w Livorno, później misyonarzem we Florencyi, wreszcie superyorem w Siennie, gdzie oddał wiele usług Siostrom Miłosierdzia.

W r. 1865 powołał go O. Etienne do Paryża na Asystenta Zgromadzenia, na którym to urzędzie ceniony przez wszystkich, był do r. 1901. W tym to roku dobrowolnie z urzędu zrezygnował.

Napisał cenną historyę Zgromadzenia we Włoszech.

Nasza prowincya ma szczególny obowiązek uczczenia jego pamięci, gdyż w r. 1867 był u nas w Krakowie jako Delegat i Komisarz O. Generała, celem uregulowania prowincyi. Prowincya nasza była wtedy w zawiązku dopiero i nie były jeszcze wprowadzone wszystkie urzędy Zgromadzenia. Ś. p. X. Stella dokonał szczęśliwie tej organizacyi.

ZMARLI:

Misyonarze:

†

X. BISKUP FAVIER
wikaryusz apostolski Pekinu,
zmarł dnia 4-go kwietnia 1905 r.

X. Marcin Derler, 2 stycznia 1905 we Wiedniu, żył lat 90, w Zgromadzeniu 53.

Br. Józef Schloo, 8 stycznia 1905 w Gracu, żył lat 64, w Zgromadzeniu 35.

X. Józef Lizaso, 7 stycznia 1905 w Madrycie, żył lat 25, w Zgromadzeniu 9.

X. Piotr Scipione, w styczniu 1905 w Chinach, żył lat 34, w Zgromadzeniu 18.

X. Eugeniusz Guillaume, 23 stycznia 1905 w Carcassonne, żył lat 60, w Zgromadzeniu 40.

X. Antoni Bayo, 21 stycznia 1905 w Palma (Malorca, Baleary), żył lat 78, w Zgromadzeniu 52.

X. Edward Rosset, 30 stycznia 1905 w Paryżu, żył lat 74, w Zgromadzeniu 53.

Br. Paweł Negrié, 4 lutego 1905 w Paryżu, żył lat 78, w Zgromadzeniu 56.

X. Teodor Verniere, 17 lutego 1905 w Dax (Francya), żył lat 73, w Zgromadzeniu 40.

Br. Aleksander Grant, 26 lutego 1905, w Blackroch (Irlandya) żył lat 76, w Zgromadzeniu 29.

X. Jan Dufour, 10 marca 1905 w Paryżu, żył lat 92, w Zgromadzeniu 63.

Br. Antoni Spina, 18 marca 1905 w Oria (Neapol), żył lat 79, w Zgromadzeniu 59.

X. Mateusz Ronat, 26 marca 1905 w Anturze (Syrya), żył lat 64, w Zgromadzeniu 39.

Siostry Miłosierdzia:

S. Julia Laskoska um. we Lwowie w szpit. powsz. dnia 27 stycznia, żyła lat 64, w Zgromadzeniu 37.

S. Małgorzata Patyńska um. w Domu Centr. dnia 5 lutego, żyła lat 84, w Zgromadzeniu 56.

S. Stefania Jeney um. w Białym Kamieniu dnia 5 marca, żyła lat 27, w Zgromadzeniu 2.

S. Hieronima Szuszkowska um. w Czerwonogrodzie dnia 13 marca, żyła lat 68, w Zgromadzeniu 43.

S. Marya Cieplińska um. w Domu Centr. dnia 29 marca, żyła lat 71, w Zgromadzeniu 42.

R. I. P.

Nakładem Sióstr Miłosierdzia

Domu Centralnego w Krakowie na Kleparzu

wyszedł:

Żywot Ludwiki Le Gras

Fundatorki

i pierwszej Przełożonej SS. Miłosierdzia.

Broszur. 2 Kor. (2 mar.) — opr. z dodatkiem listów Ludwiki Le Gras 4 Kor. (4 mar.).

Nakład 600 egzemplarzy.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.